Nr. 1. Poznań, niedziela 5-go stycznia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

KONKURS.

Redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ przypomina, że 11 sierpnia br. ogłosiła konkurs na pracę „O życiu i dziełach Karola Marcinkowskiego“.

Warunki konkursu są następujące:

1) Dzieło uznane za najlepsze otrzyma 1000 marek nagrody. Fundusz ten zebrała w drodze składek redakcya „Przeglądu Poznańskiego“.

2) Dzieło winno obejmować przynajmniej 10 arkuszy druku (8-vo).

3) Dzieło winno zawierać:

a) charakterystykę społeczno-politycznych stosunków W. Ks. Poznańskiego w tej epoce, w której żył i działał Karol Marcinkowski; b) życiorys Karola Marcinkowskiego i dokładną charakterystykę jego społeczno-politycznych i filantropijnych dążeń i działań: c) historyę instytucyi powołanych do życia p. Karola Marcinkowskiego lub z współudziałem jego stworzonych; d) charakterystykę wybitniejszych działaczy politycznych w Księstwie z okresu Karola Marcinkowskiego.

4) Prace nadsyłane pod adresem redakcyi „Przeglądu Poznańskiego“, powinny być bezimienne i zaopatrzone w godło, znajdujące się także na zamkniętej kopercie, zawierającej nazwisko i dokładny adres autora.

5) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów upływa z dniem 31 grudnia 1896 r.

6) Premia uzyskana winna być przedewszystkiem użytą na ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła. Redakcya „Przeglądu Pozn.“ zastrzega sobie jednak prawo publikowania bezpłatnie w łamach pisma swojego niektórych ustępów premiowanej pracy przed ogłoszeniem jej całości.

* * *

Do składu **jury** konkursowej należą: pp. **Bernard Chrzanowski, Dr. Bolesław Erzepki, prof. Marceli Motty, A. Niesiołowski z Szarleja, Kaźmierz Puffke, Dr. Wł. Rabski, Dr. Józef Stasiński.**

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ekonomista z 17 stulecia.

W czasach wielkich przewrotów w Anglii, w epoce nieszczęśliwego a butnego Karola I i absolutnego a zimnego Cromwella przybył na ziemię angielskie człowiek, którego dzieła i życie nieco nas obchodzą: Samuel Hartlib czyli jak inni piszą Hartlieb. Jest on z urodzenia Niemcem a nawet protestantem, lecz urodził się na polskiej ziemi. Rodzice jego zamieszkiwali w głębi rzeczypospolitej, czy to jednakże względy religijne, czy też inne powody zniewoliły ich do tego, dość, że z głębi kraju wyprowadzili się do Elbląga. Z powyższych więc kilku danych wypływa, iż Hartlib przez czas dłuższy żył pod naszem niebem i znał nasze stosunki. Bez wpływu nie były one na późniejsze jego działanie. Żył w siedemnastym wieku, a więc w wieku, w którym nie mieliśmy wprawdzie Cromwellów lecz Zebrzydowskich, butnych panów, stawiających hardo czoło królowi, magnatów urządzających na własną rękę wyprawy, które nie korzyść, lecz szkodę przynosiły rzeczypospolitej, a zwiększały tylko niesforność szlachty i przygotowywały już wtenczas początki owego rozprzężenia, które nie było wyłączną przyczyną upadku, lecz torowało drogę do rozbioru Polski, przez ościenne mocarstwa. Otóż niepodobna, aby człowiek tak bystry i tak głęboko wnikający w jądro rzeczy nie był zabrał z sobą do Anglii wybitnych wspomnień rozpoczynającego się u nas rozkładu. Pisze on prawie tylko o stosunkach angielskich które o wiele były opłakańsze, niż u nas, lecz pisze o nich dla tego z takiem zrozumieniem, iż krytycyzm jego — w czasie pobytu w rzeczypospolitej się zaostrzył i w chwili przybycia do Anglii odznaczał się dojrzałością pewną. Hartlib opuścił Elbląg w r. 1630, a przybywszy do Anglii natychmiast żywy wziął udział w walce o reformy na polu społecznem. Początkowo oddawał się pedagogii przetłómaczył kilka dzieł słynnego Commeniusza na język angielski, sam próbował sił swych w wynajdywaniu metod i prawideł wychowawczych; dalej starał się o podniesienie rólnictwa, pszczelarstwa i sadownictwa. Wątpić wcale nie można, iż prace o rólnictwie i pasiecznictwie opierał na doświadczeniach nabytych w Polsce — a przynajmniej rolnictwo, u nas wówczas na bardzo pierwotnej znajdujące się stopie, mogło mu dać asumpt do starań ku podniesieniu jego wogóle. Prace te zwróciły uwagę „wiecznego parlamentu“ który mu w r 1646 wyznaczył, uznając jego zasługi, pensyą 100 funtów st. podwyższoną w następnym roku na 300 funt. Suma to jak na owe czasy pokaźna, lecz Hartlib taki był hojny, iż wszystkie pieniądze między potrzebujących rozdawał, stąd nigdy nie miał grosza, a gdy pod koniec rzeczypospolitej zatrzymano mu pensyą, położenie jego było więcej niż mierne.

W pracach jego, które wszystkie wydawał w języku nowej swej ojczyzny, widoczny jest wpływ utopii Morusa. W r. 1641 ogłosił on rzecz w formie „Utopii“ o ekonomiczno-politycznych zadaniach państwa; dość długi tytuł tej pracy brzmi: „Opis słynnego państwa Makarii, który to opis przedstawia znakomity rząd kraju, w którym mieszkańcy w wielkiej szczęśliwości, w dobrem zdrowiu i w stanie błogości żyją, rząd króla słucha, rycerstwu zaś i wszystkim ludziom dobrej woli należytą cześć oddaje itd. itd. Rozmowa pomiędzy uczonym a podróżnym“*. Hartlib nadmienia, że idee swoje ubrał w formę opowieści, gdyż to mu się wydaje najprzyjemniejszym rodzajem przedstawienia rzeczy, oprócz tego przyznaje się otwarcie, iż naśladuje Thomasza More czyli Morusa i lorda Franciszka Bacona. „Makaria“ (tyle co „miejsce szczęśliwych“), nie przedstawia jakiegoś typu społecznego ustroju, lecz wprost urządzenia i ustawy państwa, które są w tak ogólne ujęte formy, iż łatwo je można dostroić do teraźniejszości. Zasadnicza ich podstawa jest następująca: państwo ma dozór nad produkcyą i proteguje ją wszelkim możliwym sposobem, niewykluczona jest w

* Makaria znajduje się w „Harleyem Miselanies“.

owem państwie własność osobista, lecz do niej przywiązano wykonanie ściślej określonych obowiązków; gdy właściciel ich nie wypełni, własność jego przechodzi na własność państwa. W Makarii jest pięć osobnych departamentów, w nowoczesnem pojęciu ministerstw, z których jedno zajmuje się rolnictwem, drugie rybołóstwem, trzecie handlem i przemysłem krajowym, czwarte handlem zamorskim, piąte koloniami. Oczywiście ministerya funkcyonują idealnie doskonale, protegują postęp i wynalazki a z powodu tego dobrobyt kwitnie, rozwijają się nauki, bieda znajduje najtroskliwszą opiekę. Z powyższych kilku zdań wynika, iż w Makarii przedstawiono *państwo jako wielki zakład pracy*. Tej myśli przewodniej trzyma się Hartlib wytrwale przez całe życie. Na podstawie Makarii wydał ktoś inny, nadużywając jego nazwiska, obszerniejsze dzieło parodyjące Makarią, pod tytułem „Olbia" (szczęśliwa). Lecz to tylko nawiasem.

Rozpatrując się w zasadniczej idei Makarii dochodzimy do przekonania, iż jest ona urzeczywistnieniem państwowego socyalizmu, różni się zaś od programu obecnego utopijnego socyalizmu, zatrzymując pewną indywidualność, którą dzisiejsi socyaliści wykreślają z swego programu, dalej pozostawiając pojedyńczym członkom własność osobistą. Hartlib starał się też o podniesienie zamiłowania do przyrodnictwa na uniwersytecie londyńskim. Później usiłował zasady w Makarii wyrażone urzeczywistnić, lecz plany te nie znalazły oddźwięku w ówczesnem społeczeństwie. Dla marzyciela-ekonomisty było to może korzystnem, iż nie zrobiono żądanej próby, byłby się bowiem ze smutkiem przekonał, jak wielu innych po nim utopistów, iż teoretycznie dobre zasady uszczęśliwienia ludzkości w praktyce okazują się zupełnie niemożliwemi; rozbijają się one o właściwości psychiczne, stanowiące integralną cząstkę natury ludzkiej.

Po tych nieudanych próbach zwrócił się Hartlib stale ku podniesieniu rolnictwa i znowu napisał rzecz o długim tytule: „*An Essay for Adwrancement of Husbandry-Learning or Propositions for the erecting a College of Husbandry* (Rozprawa w celu protegowania wiedzy w gospodarstwie czyli propozycya urządzenia Collegium rolniczego). Rozprawa zrobiła pewne wrażenie, lecz i ten plan nie znalazł należytego poparcia i dopiero w dwieście lat później pomyślano o utworzeniu uniwersytetu rolniczego. To jednakże zaznaczyć trzeba, iż wszelkie prace Hartliba, mianowicie rolnicze, wielce w owym czasie były cenione.

Hartlib jednakże nie ustaje w swoich pomysłach zaprowadzenia ulepszeń społecznych. Wielce to pomysłowa była głowa, mąż, który wyprzedzał spółczesnych o całe wieki. To, nad czem dzisiaj pracują, i co jako użyteczne a nowe wprowadzić chcieliby w życie, o tem Hartlib przeszło 200 lat przed nami już pisał. Proponował on utworzenie „*towarzystwa wskazującego punkta zbytu i nabywania towarów*". Prawdopodobnem jest, iż Hartlib zamierzał otworzyć instytucyę, oczywiście do lokalnych potrzeb i do czasu zastosowaną, podobną w działaniu do zadań, jakie sobie stawiło nasze *tow. handlowo geograficzne galicyjskie*.

W Poznaniu w r. 1895 szczycimy się jako wielkiem społecznem ulepszeniem „Centralnym zakładem wskazywania pracy", otóż Hartlib już przed 200 przeszło laty nawoływał do urządzenia takiego zakładu. Mienniejsi mieli płacić za informacye 2 pensy, biedni mieli otrzymać informacye darmo. Dalej przemawiał Hartlib za wolnością korzystania z wszystkich wynalazków, wreszcie wydał ocenę projektu banku krajowego.

W obec tego wszystkiego powiedzieć można słusznie z Ben-Akibą „wszystko już było". Czytając Hartliba rozprawy, zastanawiając się nad myślami ich zasadniczemi, patrząc na projekty wybiegające hen daleko po za widnokrąg wieku, zdaje się, iż czyta się rzeczy z dziewiętnastego stulecia, dzieła ekonomisty tegoczesnego o pewnem zabarwieniu komunistycznem.

Koniec pożytecznego uczonego nie był zbyt pogodny; umarł w roku 1662 w nędzy. Był to mąż szerokiej wiedzy, żywy biorący udział w ówczesnym ruchu naukowym i społecznym. Pozostawał też w ciągłych stosunkach z najwybitniejszymi duchami epoki, duchami wyciskającymi na niej swoje piętno. Milton poświęca Hartlibowi rozprawę o wychowaniu, tak samo William Petty, wobec którego Hartlib odegrał rolę mecenasa. Comenius pisze o Hartlibie, iż mało kogo zna, któryby jemu dorównywał w ogromie wiedzy.

Należy nam pod koniec rozważyć, do jakiej narodowości zaliczyć naszego ekonomistę? Rodzice Hartliba są Niemcami-protestantami, lecz Hartlib urodził się na ziemi polskiej, tam też odebrał wychowanie, tam się ukształtował jego sposób myślenia. Z uczonymi niemieckimi w żadnej nie pozostawał styczności, a pisał tylko po angielsku. Niepodobna też, aby pobyt w szkołach Rzeczypospolitej, zetknięcie się z Polakami nie miało wycisnąć na nim pewnego niezatartego piętna. Jesteśmy dalej przekonani, iż umysł tak bystry dostrzegł wszystkie usterki naszego ustroju społecznego i twierdzić prawie można, iż zasady w jego Makarii wyłożone są niejako kontrastem, podyktowanym rozprzężeniem naszej Rzeczypospolitej. Dalej jego gorące zajęcie się rolnictwem zdaje się wskazywać, iż nie bez wpływu na niego był dłuższy pobyt w kraju tak przeważnie rolniczym, jak rzeczpospolita polska. Kautsky, Niemiec, nazywał go pół Niemcem pół Polakiem. Nie był on więc ani Niemcem, ani Polakiem, lecz uczonym, który znalazł ojczyznę we wiedzy i nauce. Dla nas jest on o tyle interesującym, że urodził się na naszej ziemi, pierwsze nauki tutaj odebrał i pozostawał przez czas dłuższy pod wpływem cywilizacyi polskiej i polskiego ducha.

Iks.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Wiwisekcya. — W „Orędowniku" (Nr. 297) czytamy:

---

1)

OLA HANSSON.

BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

I.

Niedawno byłem w mej wiosce rodzinnej. Nad wieczorem wyszedłem na przechadzkę. Drogi zmoczone były jesiennym deszczem — krople perliste spadały z gałęzi drzew, a niebo w szarej mgle zdawało się z ziemią zlewać w jedną całość. Ponurość krajobrazu przytłaczała mą duszę i budziła tęskne uczucia. Zdawało mi się, że nigdy nie wyszedłem po za obręb tej mgły, że nigdy z niej się nie wydostanę, że — gdyby mnie ona szczelniej otoczyć miała.... otulić — spałbym pod nią tak spokojnie i bezpiecznie, jak się w dzieciństwie zasypia na łonie matki. Wszystko co zdobyłem i czem byłem w świecie, z tamtej strony mgły, — węzły, które mnie z ludźmi łączyły, czyny, które zdziałałem, cierpienia i radości, uśpione marzenia, szare cienie doznanych zawodów — cała ta budowa zdawała mi się chwiejną, jak dom z kart — i w tym całym fantastycznym obrazie odkryłem przepaść straszną, ponurą... jak deszczowe chmury, zawisłe na niebie. Zdawało mi się, jakobym przez długich lat piętnaście starał się uciec przed własnym swym cieniem; albo jakobym był chciał swoje jestestwo za obcą przefrymarczyć nicość i te piętnaście lat opadły z drzewa mego żywota jak piętnaście uschniętych liści i zdawało mi się, że to ja tam idę we mgle, ziarno siejąc w ziemię, lub też pasąc ojca mego krowy.

Nagle usłyszałem nad głową krzyk dzikich gęsi — dzikich gęsi, które w podróży na południe z obłoków do słońca dążyły. I zdawało mi się, że piętnaście listków zazieleniło się na drzewie, i znowu nowe jestestwo moje, zdobyte na podstawie nauki, odbijało jaskrawo od starego. Opadły mi bielma z oczu: okolica w około mnie nie była już tą samą, co dawniej, zabudowania, twarze były inne; jedno zniknęło, przybyło drugie. Wpadło mi na myśl, że tutaj zboże piętnaście razy się zazieleniło i tyleż razy ścięte zostało; że dzwony kościelne codziennie dzwoniły przez te lat piętnaście; pomyślałem o licznych mogiłach tymczasem na cmentarzu usypanych i przed oczyma stanął mi nieubłagany upiór przeistoczenia, przeszłości — to co minęło na nowo powstało, a jam patrzał znowu w dwie ciemne otchłanie: w białej czaszki trupiej próżne oczodoły.

Stałem przed małym dworkiem w czworobok zbudowanym, rozpadającym się prawie, i patrzałem w dwa okna... dwa ciemno lśniące okna w biało malowanej ścianie. Cienki dach słomiany mchem był pokryty; z zgarbionych i popękanych ścian lepianki w wielu miejscach opadło wapno. Ściany były niskie, okna maleńkie, z wyjątkiem jednego w skrzydle, które do drogi zwrócone było. Zaschnięte krzewów łodygi wskazywały, że ongi miejsce to upiększonem było, dziś — ogołocone z tej ozdoby, wystawione na słońca żar i wiatru podmuch. Kamienne mury, wysokie sześcioszybowe okna, drzwi oszklone i weranda po drugiej stronie domku — wszystko to jaskrawo odbijało od rozpadłych ścian, jak nowe ubranie na brudnym żebraku.

Stałem oparty o mur kamienny, który ciągnął się wzdłuż drogi i sadu; przez pnie starych lip patrzałem na nagie ciemne okien fasady... i dalej na ogród. Klomby kwiatów i trawniki leżały tak samo zaniedbane jak grządki warzywa, altany i żywopłoty stały nieobcięte jak broda starca. Z zamieszkałego skrzydła wyszła z wiadrem stara kobieta... na mój widok przystanęła i prędko wróciła do domu. Zżółkłe liście z buków i lip opadały, układając się na ziemi obok tych, które poprzednio spadły. W lipie odwiecznej coś się poruszyło: wrona, trzepocąca skrzydłami w gnieździe.

Zmienność! Nietrwałość! Wzrok mój uczepił się znowu szyb okna..., tam pomiędzy pniami drzew. Patrzały one na mnie jak ciemne, niezgłębione, pytające oczy, wystraszone, jak gdyby ktoś stał za niemi i

„W sprawie jubileuszu p. Fr. Dobrowolskiego, naczelnego redaktora „Dzien. Pozn.“, poruszonej na ostatniem zebraniu Kat. Tow. Rzemieślnikow Polskich. otrzymaliśmy dokładniejsze szczegóły. Sprawa niemiała tak spokojnego przebiegu, jak nam początkowo referowano, przeciwnie odbyła się w formie bardzo drażliwej i pożałowania godnej.

Mówcy, mówiący za i przeciw, pozwolili sobie prawdziwej wiwisekcyi co do osoby p. Fr. Dobrowolskiego — i to na punkcie jego uczuć katolickich. Prowadzono spór zacięty, czy chodzi do spowiedzi czy nie i kiedy był u spowiedzi. W tym guście toczyła się cała dyskusya, przy czem padały rozmaite słówka i twierdzenia.

Redakcyą pisma naszego jubileusz p. Fr. Dobrowolskiego ani ziębić, ani parzyć nie może. Nie chodzi nam też tu wcale o jego osobę, ale o sposób traktowania spraw podobnych. Do czego to ma doprowadzić, jak Towarzystwa będą się stawiały na równi z konfesyonałami i będą od redaktorów żądały świadectwa z odbytej spowiedzi! Nie jeden redaktor będzie się musiał kryć z spowiedzią, aby nie dać powodu do mowy, że pokazuje się w kościele tylko na to, aby ludzie widzieli, że chodzi do spowiedzi. Co redaktorom, to się może przytrafić także innym i może dojść do tego, że członkowie, zapaliwszy się w dyskusyi, będą sobie nawzajem wytykali: ty chodzisz tylko raz na rok, a ja cztery razy na rok do spowiedzi, dla tego — moje zdanie lepsze.

Nie należy mieszać spraw świętych z sprawami pospolitemi.

Wina za to spada na tych, którzy chcieli po prostu wyzyskać publiczność z okazyi jubileuszu pana Fr. Dobrowolskiego. Jubileuszów dość ludzie na świecie obchodzą; niech p. Fr. Dobrowolskiemu ci wyprawią jubileusz, którzy czują tego potrzebę, jak się wszędzie dzieje.

Niedźwiedzią przysługę wyświadczyli p. Fr. Dobrowolskiemu ci, którzy odezwy rozesłali po Towarzystwach. Słyszymy, że i Towarzystwo Młodych rzemysłowców otrzymało taką odezwę. Na prowincyi będzie z pewnością tak samo. Czyżby ci ludzie chcieli gwałtem prowokować takie sceny, do jakich przyszło w Kat. Tow. Rzemieślników w Poznaniu?“

* * *

W Nr. 72 gazety gnieźnieńskiej „Lech“ znajdujemy artykuł następujący p. t. „Górnicy polscy na Szląsku“:

W kopalniach szląskich pracowało w roku 1894 przeszło 52.000 górników, pomiędzy nimi było 5400 zamężnych kobiet i dziewcząt. Gdzie pracują niewiasty, tam zwykle płaca jest najniższą. Stwierdza to urzędowa statystyka, gdyż dowiadujemy się z niej, że górnik przecięciowo zarabia rocznie:

w kopalniach dortmundskich w Westfalii	946 m.
„ Saarbruecken	925 m.
„ dolnoszląskich	729 m.
„ górnoszląskich tylko	661 m.

Liczby te przedstawią się w daleko więcej ponurem świetle, jeżeli zważymy, że górnicy pracują dziennie

w dortmundskich kopalniach	8 i pół godzin
w kopalniach w Saarbruecken	9 „
w dolnym Szląsku	„ 10 „
w górnym Szląsku	„ 12 „

Zatem polski górnik pracuje najdłużej a pobiera najmniejszą płacę.

Kobiety i dziewczęta górnoszląskie pracują po 11 godzin a zarabiają dziennie tylko 78 do 86 fenygów. Praca kobiet przyczyniła się do obniżenia płacy mężczyzn.

Właścicielami górnoszląskich kopalni są: książę Pszczyński, (który wydaje rocznie 200,000 mk. na pielęgnowanie zwierzyny: w jego lasach znajdują się nawet żubry); książę Hohenlohe, książę na Ujeździe, hr. Matuschka, hr. Ballestrem itd. Są to ci, którzy w okręgu pszczyńsko-rybnickim chcieli koniecznie przeprowadzić wybór Huenego na posła do parlamentu, a teraz rzucają gromy na lud polski, że śmiał wybrać Radwańskiego.

W kopalniach rządowych płacą robotnicom 90 fen. do marki; magnaci górnoszląscy, którzy w znacznej części powydzierżawiali kopalnie żydom, płacą biednym kobietom prawdziwie psie ceny.

Przeciw tym nadużyciom walczy dzielnie „Katolik“, wychodzący w Bytomiu, a jeszcze więcej „Praca“, pismo poświęcone wyłącznie sprawom górników i hutników górnoszląskich. Dla tej przyczyny panuje wielka nienawiść ku wydawcom i redaktorom tych dwóch pism polskich, a znaczna część księży górnoszlaskich, niestety! występuje nieprzyjaźnie przeciw ludowi polskiemu, gdyż dążenia w celu polepszenia płacy zowią socyalną demokracyą.

Strach pomyśleć, jakie skutki wywołuje praca kobiet w kopalniach i hutach pod względem moralnym! Dozórcy i urzędnicy dopuszczają się tam grzechów, wołających o pomstę do Boga. Zepsucie doszło do tego stopnia, że dzieci nieślubne już tam nikogo nie rażą.

* * *

Hr. Szuwałow. — W „Przeglądzie Wszechpolskim (Nr. 22) czytamy:

Wszyscy ci, którzy niezachwianie wierzyli w zmianę prądu polityki rosyjskiej z chwilą mianowania hr. Szuwałowa generał-gubernatorem warszawskim, zawiedli się w oczekiwaniach swoich i stopniowo przekonali się o tem, że tendencye nowego wielkorządzcy w gruncie rzeczy nie różnią się wcale od dążeń poprzedniego „panowania“, że doskonale odpowiadają hasłom Hurki, tej metodzie gnębienia żywiołu polskiego, jaka w ciągu ostatnich lat wycisnęła niezatarte piętno na stosunkach politycznych w Kongresówce. Jeszcze się nie zadomowił hr. Szuwałow w Warszawie, jeszcze ma duszę pełną wspomnień berlińskich, a już zdążył zaznaczyć swoją działalność i coraz jaskrawiej i dobitniej manifestuje sympatyę dla dawnego systemu, mającego na celu rychłe i zupełne stopienie „*Priwislinija*“ z resztą państwa. Jako dyplomata *par excellence* jest on może trochę ostrożniejszy i woli w niektórych wypadkach zgrabne lawirowanie od postawienia kwestyi na ostrzu, bądź co bądź jednak skutki są zawsze jedne i te same, jak jedne i tę samę chorobę wywołuje trucizna, przyjęta czy to w zwykłych kryształkach, czy też w zgrabnie utoczonej pigułce...

To też hr. Szuwałowa zaczynają już dzisiaj rozumieć w Warszawie nawet ci, ktorzy początkowo optymistycznie nań spoglądali i dopiero *ex ungue* mieli sposobność przekonać się, z kim mają do czynienia.

Oszlifowany i układny hrabia, europejczyk w całem znaczeniu tego słowa, arystokrata z urodzenia i z przekonań, chwycił w ręce swoje cugle władzy administracyjnej i — okazało się, że mimo całej delikatności swojej potrafi trzymać je krótko i ściągać w miarę potrzeby nie gorzej od swego poprzednika, który ani arystokratą, ani europejczykiem nie był, a poprzestawał na godności wyobraziciela brutalnej siły absolutyzmu.

Wobec tego stosunki warszawskie bynajmniej się nie poprawiły, ale — przeciwnie — wciąż idą ku gorszemu. Dowodem tego niechaj będzie wydane ostatnio przez generał-gubernatora rozporządzenie odczytywania manifestu carskiego po rosyjsku przez księży katolickich. w świątyniach tego wyznania.

Wiadomo, że w roku zeszłym, kiedy po raz pierwszy zażądano od duchowieństwa, aby informowało wiernych o łaskach monarszych w języku państwowym, szlachetniejsza część kleru, mianowicie wielu księży z Warszawy i prowincyi sprzeciwiło się temu stanowczo, za co jednych skazano na grzywnę, innych przeniesiono za karę na mniej intratne probostwa. Wszystko to odbyło się po cichu i dla tego przeszło niemal niepostrzeżenie, nie budząc oddźwięku w szerszych kołach społeczeństwa i nie znajdując wyrazu w żadnym śmielszym proteście. Wielu nie wiedziało nawet za co i dla czego tranzlokowano księży. Dziś, kiedy już zapomniano zupełnie o tej sprawie, z racyi manifestu, wydanego w dzień urodzin carówny, hr. Szuwałow polecił duchowieństwu, ażeby odczytało go w kościołach po rosyjsku. Wprawdzie biskupi oświadczyli, że kurya rzymska poleciła im odczytywać tego rodzaju dokumenty po polsku i istotnie po polsku manifest czytano, ale hr. Szuwałow stanowczo żądanie swoje zaznaczył. Zmusić biskupów nie mógł, bo w takich sprawach spornych. decydować władza administracyjna nie ma prawa.

Rozporządzenie takie mówi samo za siebie i nie potrzebuje komentarzy, tembardziej, że towarzyszą mu inne, będące w związku z pozaczynanemi przez hr. Szuwałowa robotami rusyfikacyjnemi. Mamy tu na myśli projekt oderwania od królestwa ziemi chełmskiej i utworzenia w ten sposób nowej guberni kraju południowo-zachodniego — sprawę, o której pisaliśmy już poprzednio, dalej popieranie przedsiębiorstwa budowy cerkwi, tych „twierdz prawosławia“ w Warszawie i na prowincyi, dzięki czemu niebawem będziemy je liczyli na dziesiątki, wreszcie dążenie w kierunku obdarzenia Warszawy stałym teatrem rosyjskim, co jakoby uważa hr. Szuwałow za swoją misyę cywilizacyjną u nas.

A to wszak dopiero początek działalności b. ambasadora na stanowisku wielkorządzcy w Królestwie polskiem.

Co będzie dalej przewidzieć nie trudno.

—ski.

---

badał zagadkę człowieczego cierpienia. Czekałem, czy postać tego kogoś nie odsyłuje się na ciemno lśniącym tle szyb, bo wiedziałem, że będzie to wtedy postać dobrze mi znana. Lecz jeden tylko wicher przyszedł i zaszumiał w gałęziach — zaszeleściało jakoby z całunu trupa, zabrzmiało jak wspomnienie pogrzebowego psalmu. Wtenczas ocknąłem się.

W jednej z tych altan przed pięcioma laty siedziałem z młodzieńcem, rówieśnikiem moim. Był wątłym blodynem o chłodnem obliczu, i szarych oczach, błyszczących jak stal, lub krople rosy, gdy na nie słoneczne padają promienie. Zwał się Andrzej Torson i był właścicielem tej posiadłości. Urodzony synem chłopa, przeistoczył się w mędrca, ostatecznie powrócił jednak do stanu swych praojców. Jak kwiat egzotyczny wśród roślin zwyczajnych wyrastający, tak wyglądał w ową noc letnią, gdy mi opowiadał historyę swego życia, historyę tak fantastyczną, jak cienie padające na ziemię przy świetle księżyca!

Ta dawno miniona noc letnia i ta opowieść z martwych powstały, gdy się znów po latach tylu oparłem o mur kamienny, gdym w owe szyby spojrzał, podczas gdy wicher szumiał w gałęziach, a w gnieździe trzepotały się ptaki. Jak nić z kłębka tak niewidzialne ręce odwijały moje wspomnienia; zmrok zapadał — a jam szedł dalej wśród coraz to większej ciszy. Dwoje szarych oczu trzymało mą duszę w uwiezi dwoje oczu, świecących jak stal, lub krople rosy, gdy na nie słoneczne padają promienie. — Jak ongi w jasnoksiężycowej nocy, słyszałem teraz głos znajomy, opowiadający mi historyę życia — czy we mnie, czy przy mnie, nie wiem.

Oto, co usłyszałem:

II.

— Historya moja rozpoczyna się z chwilą, w której w popołudniowych godzinach dnia kwietniowego siedziałem w małem Café du Lac w Kopenhadze samotnie, czytając dziennik, popijając kawę. Kelner kręcił się pomiędzy stołami, odbierając zamówienia, goście rozprawiali, a pokoje pełne były dymu. Było duszno, otworzyłem więc okno, przy którem siedziałem. Lekkie niebieskie obłoki suwały się po niebie, powietrze było miłe, orzeźwiające. Nie wiem czemu ogarnęła mnie nagle tęsknota i niechęć. — Niechęć — do czego? — Tęsknota — za czem? — Nie umiałem odpowiedzieć sobie; uczucia te były nieokreślone i przemijające jak lekki podmuch wiatru, falujący powierzchnią wody. — Wyszedłem. Na ulicy wrzało życie; piastunki pchały wózki dziecięce, oczęta siedzących w nich dzieci błyszczały w pięknym świetle słońca, panowie szli w odpiętych paletotach, panie jasno ubrane. U każdego widoczne było znużenie, poprzedzające lato. Przeszedłem wzdłuż botanicznego ogrodu: leżał on w nieieskiej mgle, wydobywającej się z wilgotnej ziemi. Widok powstającej mgły obudził we mnie to dziwaczne uczucie, jakie się odzywa w duszy, gdy myśl jaka budzi się z uśpienia, niejasna jeszcze i niewyraźna. Niepokój, niechęć, zwątpienie opanowały mnie, nie wiedziałem ani co począć, ani gdzie się udać. Bezmyślnie chodziłem po bulwarze, później po parku, gdzie łabędzie pływały po niebieskiej powierzchni wody, w której się odbijały lazur nieba i białe obłoki. W parku było spokojnie i cicho, więc coraz lżej robiło mi się na duszy, jak gdybym był odnalazł to, czegom szukał. Gdym jednak z pobocznej ulicy usłyszał turkot omnibusów i wrzawę przechodniów, zmrok pokrył znowu mą duszę, co dopiero pełną jasności, i znów niechęć do niej się wtłoczyła. W następnej chwili uderzyła fala silniejsza od pierwszej i ukazał mi się obraz nowy; białe łabędzie na pogodnej wód przestrzeni, białe obłoczki na lazurze nieba, wreszcie mgła a za nią i przed nią inny wyłonił się obraz — tęskniłem za nim jak za wspomnieniem pierwszej miłości: pragnąłem ujrzeć równinę nad morzem i usłyszeć na polach krzyk czajek. Wstręt uczułem do wszystkiego, co mnie otaczało, do śmiechu mężczyzn, tualet kobiet, do twarzy ludzkich, bruku ulic i do przepychu wystawnych okien. Uciekłem do siebie.

Noc się zbliżała. Napaliłem w kominku, rzuciłem się na kanapę, badając stan mej duszy, mego serca. Gdyby mi tak przyszło zdać sprawę z tego, co w ciągu

LITERATURA I SZTUKA.

Piśmiennictwo poznańskie.

(Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Tom XXI.)

Nie wiem napewno, ile członków liczy Towarzystwo Przyjaciół Nauk; ale założyłbym się prawie, że nie ma pomiedzy nimi ani jednego, któremu by się chciało rozciąć gruby tom świeżo otrzymanego „Rocznika“ i przeczytać go od deski do deski. Ten i ów przejrzy pobieżnie który z ciekawszych artykułów, inny nekrolog krewnego lub przyjaciela, i na tem koniec. Większość egzemplarzy dostaje się wprost z poczty na repozytoryum pomiędzy stare papiery, rejestra gospodarcze lub księgi kościelne, pokrywa się grubą warstwą pyłu, i oczekuje chwili, kiedy pokojówka na podpał je zużyje lub na strych wyrzuci myszom na pożarcie. Niejeden już tom taki znalazłem pomiędzy rupieciami, szperając po prowincyi za staremi pismami, a żaden nie był rozcięty. Tak oto szanuje się u nas owoc całorocznych trudów instytucyi naukowej...

Ale nie trzeba brać rzeczy zbyt tragicznie. Przeciętny „inteligentnik“ — a do nich należy przecież zaliczyć większą część członków Towarzystwa — u nas jak i gdzieindziej, w trosce o chleb powszedni, w walce o byt polityczny, dorywczo tylko i pobieżnie zajmuje się sprawami naukowemi, o ile nie dotyczą jego zawodu; nie ma ani czasu, aby przestudyować tom gruby, ani ilość znajomości rzeczy, aby zainteresować go mogły studya specyalne o wszelkich możliwych sprawach. Jeżeli tylko „Roczniki“ same zasługują na uwagę świata naukowego, jeżeli zawierają rzeczywisty dorobek naukowy i służyć mogą za podwalinę dla nowych badań, mniejsza już o to, czy kilkaset egzemplarzy nierozciętych na strych się dostanie.

Ale „Roczniki“ naszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie są tem, czemby być mogły i powinny. Minął niestety czas, kiedy nad brzegami Warty bujnie krzewiła się wiedza i literatura kiedy Poznań należał do głównych ognisk umysłowego życia w Polsce Dziś powymierały olbrzymy ducha, a miejsce ich zajęli epigoni, i usadowiwszy się wygodnie na laurach przez nich zdobytych, poustawiali naokół ich popiersia, i powiedzieli sobie: Jacyśmy wielcy!

I stało się, jak inaczej być nie mogło. Z gorączkowem pragnieniem wiedzy ustąpiła chęć do uciążliwych studyów gruntownych, i zdrzemnęła się uczona instytucya. Badania naukowe zastąpiło przeżuwanie rzeczy starych, argumentacyę ogólniki, pożyteczną pracę naukową pracowita zabawa. Jakie towarzystwo takie i „Roczniki“. Nie chciałbym powiedzieć, żeby nie zawierały nic godnego uwagi. Znajdzie się w nich tedy i owedy rozprawka, świadcząca, żeśmy nie usnęli zupełnie, że wśród rozdrzemanego społeczeństwa ten i ów czuwa jeszcze, myśli i pracuje: ale gdyby tak ożył który z dawnych filarów Towarzystwa, Libeltów, Jarochowskich, Cegielskich i zobaczył znachodzące się w „Rocznikach“ liczne dziwolągi, załamałby ręce z rozpaczy i pospiesznie wróciłby do grobu.

Weźmy oto „Rocznik“ ostatni. Zawiera on rzeczy wcale ciekawe i poważne. Jest tam krótki niestety urywek z II tomu „Ojcze nasza“ Augusta Cieszkowskiego, niezgodny wprawdzie z dzisiejszym stanem filozofii, ale pełen myśli wzniosłych i oryginalnych. Dalej następuje sympatyczny, gładki przekład pieśni Anakreonta przez dr. Ludwika Mizerskiego, jedna z największych ozdób „Rocznika“. Dr. Koehler zamieścił pracę o kościańskich drukach leszczyńskiego drukarza z XVII wieku Wiganda Funcka, bezładną nieco i zaniedbaną co do formy, ale bogatą w nowe szczegóły historyczne. Dr. Danysz znów uzupełnił w krótkim artykule opartym na dziele polyhistora holenderskiego z 17 wieku, Gerarda Vossiusza, cenną pracę A. Kraushara o Krzysztofie Arciszewskim — jednej z najciekawszych postaci polskich 17 wieku. Stanisław Kujot ogłosił dokumenta odnoszące się do spornej sprawy toruńskiej z roku 1724. uzupełniając w ten sposób zamieszczoną w zeszłym „Roczniku“ rozprawę; dr. Bolesław Erzepki podał do druku znaleziony w archiwum Towarzystwa nieznany wiersz Chrościńskiego i próbki gwary mazowieckiej z XVII wieku i obadwa zabytki w cenne zaopatrzył komentarze.

Gdyby na tem „Rocznik“ zamknięto, przedstawiałby się mniej okazale wprawdzie co do formy zewnętrznej, ale tem poważniej co do treści. Niestety! dla różnych względów i względzików umieszczono w nim także kilka rzeczy nie licujących wcale z powagą naszej „Akademii“. Nasamprzód: „Natura północy“, cykl wierszy szwedzkiego poety Roberta Kraemera, przekład hr. Engestroema. Nie umiem po szwedzku, nie mogę zatem sprawdzić, czy przekład ten odpowiada orginałowi. W każdym razie nie należał on do „Rocznika“. Jeżeli jest wiernym, dla tego, że Roczniki nie są na to, aby w nich drukować utwory jakiegoś obcego poety trzeciorzędnej wartości, jeżeli zaś mało lub wcale nie dorównuje oryginałowi, tem mniej było powodu zapychać nim przeszło dwa arkusze wydawnictwa naukowego. Wiersze same są sztywne i płaskie, a dla Polaka nie obeznanego jak najdokładniej ze Szwecyą, niestrawne, bo niezrozumiałe — tak zapchane jeograficznemi imionami skandynawskiemi, że czytają się jak ujęty w wiersze słownik jeograficzny. Dość powiedzieć, że przekład sam zajmuje 17, objaśnienia z przedmową 16 bitych stronnic druku.

Innego rodzaju curiosum podał do „Rocznika“ dr. F. Chłapowski. Jest to artykuł „O stosunku śp. Augusta Cieszkowskiego do nauk przyrodniczych wogóle, a do wydziału przyrodniczego w szczególności.“ Że mąż taki jak Cieszkowski nie mógł zamykać oczu na postępy nauk przyrodniczych, lecz musiał liczyć się z nowemi odkryciami i zająć wobec nich jakiekolwiek stanowisko, leży na dłoni; wiadomo jednakże, że osobiście w badaniach tych nie brał udziału i jak pisze autor „nie obrobił sam ani jednej cegiełki do budowy wspaniałego gmachu tych umiejętności“, nie wyłożył nigdzie swych osobistych zapatrywań w tej mierze. Do pracy, jakiej się podjął dr. Chłapowski, nie

---

dnia robiłem byłbym się musiał cofnąć myślą wstecz do wczoraj, przedwczoraj i dalej, dalej aż do czasu, w którym zdawało mi się, iż załatwiłem wszystkie obrachunki z życiem.

Wiesz... tak samo jak gdy mniemamy, żeśmy zrobili odkrycie jakieś, lub natrafili na ślad jakiejś rzeczy — myśl wyłamuje się najpierw ze stosu żużli, który ją przygniatał, jak iskra z zgasłego ognia, a gdy później myśl owa w jaśniejszych przedstawi się barwach, w górę się wzbija jak ogień słupem płomieni, słupem przeżytych wypadków.

Przedemną świeciła pewność niezaprzeczalna — uwydatniająca się jak droga mleczna zimową porą: istnienie moje na tej ziemi było zwichnięte, bo żyłem w cudzem mi otoczeniu. Siliłem się, by iść przeciw prądowi wiatru. Rozumiesz mnie?! Pradziadowie moi, pokolenie w pokolenie, całe setki lat trudnili się tym samym zawodem, w tej samej nawet okolicy. Rysy charakteru, odrębności, które stan wieśniaczy w człowieku przeciętnym wytwarza, musiały się zaostrzyć przez dziedzictwo wiekowe! Są prawa natury, których wykonanie, zastosowanie jest od tychże tak nieoderwalne, jak w geometrycznym stosunku jedna z dwóch równolegle obok siebie biegnących linii od drugiej, — tak niezbite jak prawo rosnącej szybkości spadającego kamienia... Chciałem spadający kamień zatrzymać... chciałem zmienić dowolnie kierunek jego! Próbowałem zmienić mą duszę, malując na niej obrazy i zasady wyczytane w książkach — zmienić ją podług ideałów innych towarzyskich klas! Często, gdy myśli podobne do głowy się cisnęły, odwracałem się od nich, lecz wreszcie przekonałem się, że w nich jedynie prawda leży — i pochwyciłem je silnie, jak schwytane ptaszę. I do tego wyniku doszedłem, że nierozerwalny węzeł wiąże mnie z ziemią mą rodzinną.

Zerwałem się, wrzuciłem w torbę podróżną najpotrzebniejsze przedmioty; zawołałem gospodynią, kazałem jej spakować moje rzeczy i nazajutrz rychło rano mnie obudzić. Sam zaś poszedłem do biura telegraficznego, by jednego z krewnych zawiadomić o mem przybyciu. Opuszczałem miasto na zawsze.

Jedynego tam miałem serdecznego przyjaciela — trzeba się było z nim pożegnać. Odszukałem go i poszedłem z nim do „etablissement national“. Ani przedtem ani potem nigdy tak wesołym, jak wtedy, nie byłem... stan febryczny prawie. Muzyka grała walca, podobnego do szumu wody, a ja siedziałem szczęśliwy jak człowiek, marzący o niebiańskiej miłości. W szansonetkach... w akrobatycznych sztukach znajdowałem upodobanie dotąd nigdy nie doznane; przytem powtarzałem sobie: „nie należę do was. wy, którzy przychodząc tu codziennie śmiertelnie się zanudzacie. Zasiadam pośród was jak obcy, który zatrzymał się w przejeździe, a jutro dalej w świat się puści, nie wiedząc, czy kiedykolwiek dotąd jeszcze powróci“.

Około dwunastej przyjaciel mój chciał odejść, ale go zatrzymałem — zabrałem go z sobą do kasyna; tańczyliśmy, wzięliśmy lożę — i piliśmy szampana.

III.

Parowiec był prawie pusty — spotkałem tylko kilku drzemiących mężczyzn. Poszedłem do jadalni na śniadanie. Wracając zobaczyłem młodą kobietę w ciemnem podróżnem ubraniu, opartą o parapet okrętowy. Wysmukła jej postać odbijała od pozłacanego pomostu. Stała tam patrząc na cieśninę Sund, która przy pogodnem powietrzu bliską się być wydawała. Włosy miała z tyłu pod górę zaczesane i upięte: na szyi wiły się blond loki, cień na nią rzucając. W chwili; gdym na nią spojrzał, przechyliła na bok głowę, podpadająco małą — poznałem ją zaraz po tym ruchu, bo jedne tylko istotę znałem, która w taki sposób przechylała głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



było więc nigdzie materyałów. To też wypadła tak ogólnikowo jak najpobieżniejszy artykuł dziennikarski. Czytelnik nie dowiaduje się z niej literalnie niczego, chyba tego, co się samo przez się rozumie: że Cieszkowski „cieszył się każdem odkryciem naukowem, zajmowała go każda, nowa teorya nie odrzucał z góry żadnej, choćby najsprzeczniejszą była z panującemi poglądami“. Ogólniki, ogólniki bez końca, okraszone kilku szczegółami z życia zmarłego przed dwoma laty prezesa Towarzystwa.

Dalej nie należy do „Rocznika“ artykuł I. Łubieńskiego o glinie (aluminium). Mniejsza już o to, że nie jest oparty na samodzielnych badaniach, lecz tylko zestawieniem tego, co o tem przedmiecie inni napisali — że nie jest pracą naukową, lecz czysto informacyjną; ale co gorsza nie odpowiada on już bynajmniej stanowi rzeczy, bo napisany przed „paru laty“ dopiero w tym roku ukazał się w druku. Komu zaś wiadomo, z jaką szybkością właśnie ta gałęź przemysłu się rozwinęła, ten osądzi łatwo, czy należało drukować w organie czysto naukowej instytucyi pracę, w której wielu a wielu bardzo rzeczy nie uwzględniono.

Pozostaje nam jeszcze jedna rozprawka Leszka Maryi Dziamy o zapatrywaniach politycznych Kaspra Miaskowskiego. Umieszczono ją w Roczniku, ponieważ dotyczy poety wielkopolskiego, ale znalazłaby stosowniejsze miejsce w któremkolwiek z czasopism peryodycznych, nie posiadających tak wybitnie naukowego charakteru. Dla „Roczników“ jest ona za pobieżną i jednostronną. Brak przedewszystkiem autorowi gruntownej znajomości 16 wieku, oparł się na utworach samego poety tylko, nie uwzględnił należycie stosunków lokalnych i czasowych i wpływu jego otoczenia. Nie dziw więc, że nie umiał wytłomaczyć sobie sprzeczności rzekomych w jego postępowaniu, — — że nie rozumie, jak ten sam człowiek mógł napisać „Apologią na paskwil“ i „Pugna Andabatorum“, a utrzymywać stosunki serdecznej przyjaźni z Szczęsnym Herburtem i pisać wiersze pochwalne na cześć Mikołaja Zebrzydowskiego. Miaskowski Leszka Maryi Dziamy jest człowiekiem dwulicowym, a choć autor nie wypowiada tego, odbiera czytelnik wrażenie, jakoby jedno z jego uczuć było nieszczerem, jakoby albo udawał monarchistę, lub też przyjaciela rokoszu. Jest to błędem zasadniczym, i obowiązkiem Towarzystwa było nie umieszczać w „Rocznikach“ swych pracy, która przyczynić może się tylko do skrzywienia pojęć o poecie wielkopolskim.

Nasze Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie jest tem, za co by chciało uchodzić: „poważną instytucyą naukową w rodzaju akademii“, — liczy jednak pomiędzy swymi członkami garstkę ludzi poważnych, gruntownie wykształconych i dbałych o los i sławę instytucyi. Jakże oni mogli na to zezwolić, aby oszpecono „Rocznik“ takiemi lichotami, które najstosowniejsze znalazłyby miejsce w koszu redakcyjnym! Wina spada przedewszystkiem na naszą bezgraniczną grzeczność, czyli mówiąc wyraźnie brak odwagi. Członkowie Towarzystwa kierują się nie samemi tylko względami naukowemi lub estetycznemi, ale także względami osobistemi i towarzyskiemi. Wzdrygają ramionami i przesyłają sobie ukradkiem ironiczne spojrzenia, słuchając odczytu, noszącego wielkie znamiona miernoty umysłowej; mało kto jednakże odważy się powiedzieć autorowi w oczy — że praca jego nic nie warta, a przynajmniej nie nadaje się do umieszczenia w „Roczniku“, mianowicie jeżeli autor ten jest wybitną osobistością, posiada rozgałęzione związki i koligacye i mógłby zaszkodzić śmiałemu krytykowi, albo też jest przyjacielem, a choćby tylko dobrym znajomym.

A sama organizacya Towarzystwa, sposób podejmowania uchwał dotyczących druku odczytów! Nadesłano do wydziału historyczno-literackiego studyum specyalne — powiedzmy o neoplatonizmie. Praca ma być czytaną i ocenioną na posiedzeniu wydziału. I oto stawia się dwóch filologów słowiańskich, dwóch księży, wydawca dzieł popularnych, inżynier i gawędziarz-poeta. Połowa z nich nie słyszała w życiu słowa o neoplatonizmie, z pozostałych jeden lub dwóch zaledwie obeznanych jest jako tako z filozofią. I grono to mieszane ma wydać sąd o specyalnem studyum filozoficznem, rozstrzygnąć czy można je drukować w „Rocznikach“, a każdy z obecnych ma równe prawo głosu! Jeżeli praca zbyt jest obszerną, aby można ją odczytać na jednem lub dwóch posiedzeniach, porucza się jej ocenę specyalnej komisyi. A do komisyi tej wstępuje kto się właśnie zgłosi, bo zgłasza się niewielu, a niepodobna przecież być niegrzecznym i zgłaszającego się nie przyjąć. Czy komisya ta jest dobraną, czy zna się należycie na rzeczy, czy można polegać na jej sądzie? — a któżby się o to pytał! Nie wypada!

Nie dziw, że w takich warunkach dostają się do „Roczników“ artykuły i wierszydła niegodne figurować w podrzędnem pisemku litarackiem.

Przejrzyjmy ostatnie „Roczniki“ Towarzystwa, a przekonamy się, że artykułów takich coraz więcej się mnoży. Czas, aby nareszcie ludzie dobrze myślący i troskliwi o sławę naszej, bądź co bądź jedynej instytucyi naukowej, postarali się o gruntowną jej reorganizacyę, a co najmniej już o rzeczową i fachową ocenę prac nadsyłanych do druku przez wybierane ad hoc komisye specyalne. Inaczej nadejść musi chwila, kiedy wydawnictwa Towarzystwa Przyjaciół Nauk przestaną należeć do poważnych wydawnictw naukowych, a staną się pośmiewiskiem uczonego świata.

Z. Oleski.



Z liryki współczesnej.

Wiktor Gomulicki: „Nowe pieśni“. Petersburg, nakład K. Grendyszyńskiego, 1895.

Gdy z drzew umarłych jesień straca liście,
Śpiewaj o czarach nieśmiertelnej wiosny;
Gdy z pól cmentarnych chór płynie żałosny,
Śpiewaj o lecie, co trwa wiekuiście.

Taki cel wyznacza poecie głos bezimienny, zachęcając go, aby po długiem milczeniu wziął znowu lirę do ręki. Łatwiej jednak było na czele nowego zbioru pieśni postawić taki program niżeli go wykonać.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Nadto wszystko przyjechał z uniwersytetu młody Dyniecki, pierwszy elegant w Kołczanowie, znakomity chłopiec, tancerz co się zowie, deklamator jakich mało, a piękny i miły jak nikt na świecie.

Wprawdzie popsuły go trochę niewiasty w Krakowie — lecz cóż to wadzi, jest tem bardziej zajmujący.

Dyniecki jest jedynakiem bogatego młynarza, którego oceniają sąsiedzi na sto tysięcy z górą, należy więc do najwyższej arystokracyi tego miasta, nadto kształci się na doktora. Nie w każdym on domu mieszczańskim bywa, wybiera jeno niektóre i tym zaszczyt czyni. Obecnie zaszczyt ten jest tem większy, że Dyniecki od czasu jak jest na uniwesytecie w Krakowie i w wielkim obraca się świecie, stał się nader wymagającym i woli w urzędnicze zaglądać progi, niżeli odwiedzać „sąsiadów“ swego ojca.

Kobiety ogólnie zachwycają się jego urodą. Jest on mężczyzną wysokim, zgrabnym, ma płeć białą jak kobieta, różowe, namiętne usta, czarne wąsiki i śliczne oczy. Gdy tylko wieść gruchnęła po mieście, że młody Dyniecki przyjechał na święta, zaraz znajome panie przekazują przez sąsiadów i proszą, by o nich nie zapominał, lub też chcąc go ujrzeć bodaj z daleka, spieszą na rynek, na bruk kostkowy, po którym młodzieniec zwykł jest przechadzać się codziennie.

Wówczas szepcą sobie panie i panienki z uśmiechem:

— Nic się nie zmienił, taki ładny jak był przedtem.

On zaś rzuca im w odpowiedzi ogniste spojrzenia, kłania się zgrabnie, jeżeli mu są znane i idzie dalej. Dopiero na zakręcie rynku staje, odwraca się i patrzy.

Dyniecki nie bywał dotąd u Borajskich.

V.

Do pokoiku Smolarza wpadły wśród śmiechu i chichotu oba dziewczęta, a za niemi Łasiecki z kajetem w ręku.

— Franek chodź, chodź prędko — wołała Anulka i porwawszy brata za rękę, ciągnęła go w kurytarzyk wiodący do jadalni.

— Pan będziesz grał z nami w teatrze — krzyczała Lola, z drugiej strony eskortując Smolarza — potrzeba nam jeszcze lokaja.

— Cóż znowu? — wypraszał się Smolarz pociesznie — ja się na tem zupełnie nie rozumiem.

Łasiecki postępując za nimi, śmiał się głośno i pocieszał przyjaciela.

— Nie bój się Franek, rola lokaja to właśnie taka głupia, że nie trzeba się na niczem rozumieć.

Usiedli przy stole w jadalni i Łasiecki rozpoczął natychmiast czytanie. W drugim pokoju odbywała się jakaś narada między Borajskim, Szelągiem,Ranieckim i Szołomiejskim. Dwaj ostatni sprzeczali się bez przerwy i co chwila do czytających dolatywały głosy, to krótkie, urywane, zjadliwe słowa Ranieckiego, to Szołomiejskiego poważne i przewlekłe. Pani Marcysia wydawszy zarządzenia w kuchni, usiadła przy stole w jadalni. Oparłszy bródkę na splecionych palcach, przysłuchiwała się uważnie czytanej komedyi. Sztuka tłomaczoną była z francuzkiego. Bohater jej pan Letourneaux, przechrzconym był przez czytającego na Leturnoksa. Mimo przekręcenia nazwisk, Łasiecki czytał płynnie, cieniował dyalog wyraźnie i wszyscy słuchali go ze skupioną uwagą.

Gdy czytanie skończył, rozpoczęły się narady, komu powierzyć role: Łasiecki jako reżyser i najwyższa w tym względzie instancya postanowił, że w sztuce grać muszą koniecznie: panna Lola, panna Anna i Franek.

Grać w teatrze amatorskim było dla Kołczanowian, zwłaszcza płci nadobnej, nie lada odznaczeniem. Łasiecki przeznaczając główne role dla Loli i Anusi, dał przez to wyraz głębokiej przyjaźni dla rodziny Borajskich.

Dla czego? Bo lira Gomulickiego ma dużo podobieństwa do eolskiej harfy. Grają na niej podmuchy i wietrzyki, grają prądy czasu, nastroje chwili, grają smętne powiewy, które niosą z sobą tęsknicę wiekową.

Zresztą poezya nowożytna daleko więcej skarży się, wybucha cierpieniem i buntem aniżeli hymnem radości życia. Gdy z duszy człowieczej płyną najgłębsze jej dźwięki, zawsze słychać w nich ból prometeuszowy, szarpiący się z przemocą losu.

Nic więc dziwnego, że wiosenne i pogodne głosy nie stanowią górującej nuty w tym nowym szeregu pieśni. Na wstępie we „Wzlotach“ poeta głosi hołd dla myśli i uczucia, rozdzielonych od siebie wedle dawnej idealno-realnej recepty, potem twierdzi, że „prawda w poezyi tylko się mieści, bo wiedzę nierozwikłane dręczą zagadki“ — że jedynie poezya „wśród zgiełku życia umie wyśledzić myśl bożą“. Możnaby się o to sprzeczać ze stanowiska filozoficznego, lecz poecie taka wiara przystoi.

Każdego twórcę rozgrzeszyć należy, gdy jednostronnie przecenia wartość swej sztuki albo swojego jej pojmowania. Wiara taka może być ciasną, może nawet w pewnych wypadkach razić samochwalstwem, ale stanowi siłę rozpędową. Poezya zresztą nietylko przeczuciem „sięga do istoty rzeczy“, ale posiada czasem dar uskrzydlania dusz robaczych i pełzających w pospolitości

Za dogmat swej wiary Gomulicki uważa także odrębność i wiekuistość ducha, który jest „jeden i jednakowy“, a ciało „tylko dla niego lutnią w ręku“. Ono odpowiada za ułomności człowiecze, ono jest winne. gdy „melodya życia niepewna i głucha splątanem pasmem się przędzie“.

W tych „wzlotach“ potrącających o myśl filozoficzną Gomulicki jest idealistą starego kalibru, nie może stanąć obok takich mistrzów jak Asnyk lub Sully-Prudhomme, którzy oryginalnie bratają filozofię z poezyą.

Ale zstąpiwszy z dziedziny ogólnych i metafizycznych zagadnień do kwestyi szczegółowych, w cyklu „Rozmyślań“ daje kilka wierszy, w których myśl głęboka połyska niby płomień w lampie złotej wysadzanej klejnotami. Tchnieniem żywotnem bije śliczny wiersz „Pnie i korzenie“, w którym poeta zestawia majestat drzew wielkich i powab lasu haftowanego kwiatem z wężowiskiem pokręconych czarnych splotów, które żer ciągną z ziemi.

Wiec prawd odwiecznych gwałcić nie trzeba,
Zgodność dzieł wielkich jest duszą, —
Żeby pnie mogły piąć się do nieba.
Korzenie w ziemi tkwić muszą!

Szeroko da się tłomaczyć idea tego wiersza pod względem socyologicznym. Przypomina on, że dla podtrzymania w życiu tego, co kwitnie i bujnym okrywa się liściem, co strzela ku słońcu pniem wyniosłym, korzenie muszą mieć siłę, a chociaż się kryją w ziemi, na tem właśnie polega ich znaczenie, że ciągną soki bezpośrednio z wielkiego zbiorowiska zasobów życia.

Duma także poeta nad ludzkością, która nigdy nie jest szczęśliwą, jako „głodów wieczysta ofiara“, gdy tymczasem w naturze wszystko się zgadza z swym losem „ani się płazom śni lataczów władza, ani o pląsach myślą ciężkie góry“ — jedna ludzkość nosi w swym duchu żądzę „by sięgać myślą nieudolną — dalej i wyżej niżli sięgać wolno“. Ale w tym stanie „bez spoczynku — bez szczęścia“ mieści się jej przeznaczenie — „bo może śmierć znalazłaby w spoczynku?“

To prawda. Szczęście bywa tylko oddechem chwilowym piersi znużonej walką życia, spoczynek tylko wytchnieniem w wiekuistem dążeniu naprzód. Jeśli tę prawdę poeta dobrze rozumie, to dziwić się można, dla czego w wierszu „Za wcześnie“ twierdzi, że „postępu hucząca fala materyi służy jedynie, zwierzęcość udoskonala, nie wie o ducha dziedzinie“. Cała historya cywilizacyi przeczy takiemu zrzędzeniu.

W cyklu „Pod ciosem“ silnym dźwiękiem odzywa się ból duszy, w którą uderzyło wielkie nieszczęście. W oczach poety zbladły ponęty życia, natura nie ma uroku, a jego wzrok w ziemię wbity ponuro, nieśmie się podnieść i szukać znaków na niebie.

Chociaż ciażyła dłoń twa nadenmą,
Zawszem przed tobą stawał w pokorze,
Prosząc o światło na drogę ciemną,
Boże! Boże!

Dziś, gdy w istnienia pasmie zawiłem
Nić się splątała — zerwać się może,
Nawet do ciebie drogę zgubiłem
Boże! Boże!

Gdy myśl poety dręczona cierpieniem kołysze się „Pod muzykę dzwonów“, staje przed nią „śmierci widmo blade, żałosne wstęgi dymu przesłaniają radość każdą tej ziemi“ — wszystkie ponęty i zagadki życia wydają mu się marnością.

Wszystko nieprawość i wszystko kłam,
Jak sen to życie przepływa. —
I tylko jedną prawdę tu znam:
Ból, co mi serce rozrywa!

Cały ten cykl jest sznurem poetycznych pereł. Czarne one, ale bardzo piękne. Uczucie boleści żywej, szarpiącej duszę, wybucha tu jękiem silnym, skargą przenikającą.

Czuć w tym bólu indywidualnym rozszerzenie duszy ludzkiej, która zwraca się do głębin i mroków życia wogóle. W wierszach „Vita brevis“, „Jutro“, „Im dalej“, „Bez cudu“, „Tu a tam“, „Mors“, „Nihil“, „Jęk“ — odkrywa poeta bezmiar uczucia skupionego, które w poruszeniach swoich brata się z myślą o nędzy istnienia. Boleść ta robi tem silniejsze wrażenie, że nie miota się, nie wybucha, a jednak czuć w niej jakby krajanie nożem w wnętrznościach duszy. To ból męża, który zaciska zęby, aby ludziom nie pokazać kurczów, łamiących rysy oblicza. Wiemy, że płynie on ze źródła nieszczęść i strat najsilniejszych, jakie może człowiek przechodzić, gdy natura wydziera mu to, co ukochał nad życie. Poeta jednak chowa przed oczyma ludzi stronę osobistą cierpienia. To jest świętość smutku, który do cierpiącego tylko należy, to jest wyłączność bólu rzeczywistego, który nie szuka pomiędzy ludźmi wspólnika. W poezyi przetapia się ten ból na uczucie ogólniejsze, przybiera jakby odcień nieosobisty i ukaja się wreszcie w pragnieniu ciszy, w tej świadomości, że i cierpienie przemija jak wszystko na świecie. W ślicznej „Modlitwie“ błaga poeta:

Nadmiarem bolu zaciete wargi
Rozwiąż Panie.
Usta, co mieca klątwy i skargi,
Ucisz Panie!
. . . .

Dziewczęta były zachwycone. Rumieńce wystąpiły im na policzki, oczy pałały ogniem.

— A teraz jeszcze kto będzie panem Letourneaux? — wołała Lola kręcąc się na krześle — a kto tym zazdrośnym mężem?

— Mężem będzie młody Józef Raniecki.

— E nie, on tego nie potrafi — protestowała Lola.

— Potrafi, on w jesieni już raz grał i to wcale dobrze.

— A kto będzie grał Letourneaux?

— Dyniecki.

— Co?...... Dyniecki? — zawołały prawie równocześnie Lola i pani Borajska.

Ta ostatnia zaś dorzuciła:

— To on już przyjechał?

— Tak jest, widziałem go wczoraj na ulicy. Pytałem się, czy grać będzie. Powiedział, że dobrze.

— Pan go zna?

— To mój kolega ze szkół. Wprawdzie teraz wielki pan się z niego zrobił. ale ja z takimi umiem się obchodzić. Jak on nos do góry, t... to ja jeszcze wyżej i zaraz się rozumiemy.

— Ach. jakżeby to było pięknie, żeby Dyniecki z nami grał! — cieszyła się Lola, klaszcząc w dłonie. — On tak ślicznie gra. Pamiętasz Anulko zeszłego roku?...

— Pamiętam, ślicznie.

Łasiecki zaręczał, że na Dynieckiego można z wszelką liczyć pewnością.

Pani Marcysia po krótkim namyśle zapytała:

— A możebyś pan inną jaką sztukę wybrał?

— Inną, proszę pani?

— No, taką.... żebym i ja w niej grać mogła.

— Kiedyżbo takiej nie mam. Ale prawda, zdaje mi się że jest tam jeszcze w kuferku jedna, gdzie jest rola starej babki.... możeby tę wybrać. Pani mogłaby być babką.

— Ja nie chcę być babką — oburzyła się pani Marcysia i wstała od stołu obrażona.

Lola wybuchnęła na to głośnym śmiechem. Łasiecki zrozumiawszy, że strzelił bąka, zaczerwienił się, Smolarz i Anulka zamienili spojrzenia.

W chwilę potem wróciła jednak pani Borajska do stołu bez gniewu i rzekła:

— Jakbyście mieli na prawdę dawać to przedstawienie, to u nas robilibyście próby, prawda?

— Tak jest, oczywiście.

— I Dyniecki musiałby do nas przychodzić.

— To się rozumie.

— W takim razie, niech go pan poprosi, żeby przyszedł do nas w niedzielę. Niby to dla przeczytania sztuki, niby coś podobnego... Dobrze?

Łasiecki przyrzekł, że to zrobi.

— A potem trzeba go będzie zaprosić na trzynastego, na moje imieniny.

— Lola i Anulka przyklasnęły temu postanowieniu.

Gdy tak przy stole w jadalni bawiono się przedstawieniem amatorskiem, w przyległym pokoju odbywało się prawdziwe amatorskie przedstawienie, podczas którego główne role spoczywały w rękach Ranieckiego i Szołomiejskiego, a treścią sztuki była kasa zaliczkowa z ograniczoną poręką.

Szołomiejski, człek światły, oczytany, posiadający szeroki na świat pogląd, wyłuszczył właśnie sąsiadom projekt założenia pierwszej kołczaniańskiej kasy zaliczkowej i ostatkiem argumentów starał się utrwalić wrażenie, wywołane w ich umysłach jasnem, dosadnem przedstawieniem sprawy.

— Wierzajcie mi panowie — kończył właśnie basowym, przewlekłym głosem — powiadam wam szczerze i sumiennie że byłoby to prawdziwem dla nas wszystkich dobrodziejstwem.

Raniecki, który wygadawszy się już poprzednio przestał na razie mówić, aby wysapać się i zaczerpnąć świeżego powietrza, zakrzyczał znowu, uśmiechając się ironicznie:

— Wszystkich jak wszystkich, ale przynajmniej dla tych, co mają ciągle pustki w kieszeni.

Był to przytyk do Szołomiejskiego. który mimo niezwykłej uczoności, w ciągłych bywał kłopotach pieniężnych.

— A kto dzisiaj nie ma pustek w kie-

Którym duch krzepki rwie się do boju
Moc daj, Panie —
A którym trzeba tylko spokoju —
Odpoczywanie!

Z pomiędzy mrocznych poezyi wyróżnia się jeszcze śliczny wiersz „W katedrze“, gdzie cisza wielka każe „zapomnieć o męce istnienia“ a duch poety ukojony błogosławi tych, „co zaklęli w kamień i drzewo myśli najświętsze“, błogosławi kolumny strzelistą linią biegnące do szczytów. Błogo się robi pod wrażeniem tego złagodzenia duszy zmęczonej, dobrze nam, gdy czujemy ciche rozpłynięcie się w smutku, w wielkiej nawie, nawie, której łuki i sklepienia toną w mroku. Dusza ludzka czuje się wtedy objętą czemś wielkiem, napoły nieokreślonem. Myśl i oko w zadumie błądzi u gzemsów i kapitelów; ślizgając się po łukach i sklepieniach wyławia z mroku nowe zarysy i kształty, które się spływają z ogólnym nastrojem.

Z tych mroków poeta wychyla się na światło dzienne w cyklu „Przy słońcu“, przypominającym dawne jego jasne pieśni, które kąpały się w blaskach, tchnieniem wiosny owiane. Kilka tych wierszy, a zwłaszcza „Gdy błyszczy maj“, „Ekloga“, „W starym sadzie“ pełne są subtelnego a raźnego szczebiotu; w „Dwu słowikach“ wraca nuta melancholii — a wiersz „W upojeniu“ kipi warem zmysłowości. Wprawdzie we wierszu „Wszechmoc człowieka“ poeta radzi „okiełznać żądze, a myślom dać skrzydła, jeśli chcemy posiąść moc, co targa wszystkie losów sidła“, jednakże zapomniawszy o tej radzie praktycznej z porywającą prawdą oddaje się tej miłości, co jest „obłędem bachicznym, grzesznym, boskim, dzikim“ — co w pocałunkach duszę wypija a w uściskach płynie gdzieś w zaświaty, mdleje, roztapia się i ginie. Poezya bierze zwykle w obronę prawa namiętności i spełnia przez to swą rolę przyrodzoną, bo i ona płynie z popędów nieświadomych a potężnych, i ona rodzi się we wrzeniu młodzieńczem, i ona jest cząstką i głosem wszech-duszy, ożywającej istnienie i budzącej do życia.

Okiełznanie żądz jest potrzebą i wymaganiem postępu duchowego człowieka, ale poezya broni, aby to ujęcie w karby nie było niewolą lub zanikiem, jest naturalną rzeczniczką miłości, rozkoszy i ponęt życia. Dla tego też przebaczamy tej żądzy „W upojeniu“, że jest zmysłową, ponieważ prąd jej ognisty stwarza harmonię dwu istnień, ponieważ te słowa namiętne budzą w każdym z nas pragnienia, albo wspomnienia chwil szczęśliwych.

W „Obrazach i zarysach“ bardzo miłe wrażenie robią dwa wiersze z życia mieszczańskiego „W kamienicy pod okrętem“, łączące ton archaiczny z humorem oryginalnym. Udało się poecie wskrzeszenie dawnych postaci, ojca, handlarza win, i synka eskulapa, którzy in illo tempore porali się z trudnościami żywota. W „pieśniach weneckich“ mało jest obrazowości, gdyż poeta przetapia wrażenia rzeczywiste w jakieś fantazyjne majaki. W „Strofach ulicznych“ spotykamy dawny dar osłaniania poezyą prozy mieszczańskiej. Są to bardzo ładne i barwne akwarele, przejrzyste w tonie, czasami przymglone obłokiem tęsknoty, ale napróżno byśmy w nich szukali tego płomienia pogody młodzieńczej, który ongi „Na kanonii“ rozjaśnał poecie mroki poddasza.

W cyklu „Umarłym i żywym“ prześlicznym jest wiersz poświęcony „Pamięci J. I. Kraszewskiego“, rzewny, szczery, podobny do melodyi, która wpada do duszy, jak pieśń do górskiego parowu, a przebrzmiawszy budzi echa i dośpiewy. Wiersze „Pomnik Moniuszki“ i „Pamięci Jana Matejki“, chociaż okolicznościowe, tętnią uczuciem i chwytają za serce.

Pominąwszy inne szczegóły i fragmenty, można powiedzieć, że w tym obfitym zbiorze talent Gomulickiego wykazał dawne mistrzostwo formy, przybrał pewną określoną fizyognomię. Dawniej był to wirtuoz, grający z równą biegłością na różne sposoby, obecnie góruje w jego poezyi nuta bólu. Cały jej horyzont stał się bardziej mrocznym, tu i owdzie tylko widać na nim skrawek mały lazuru, albo obłok biały, przepojony drganiem słonecznem.

Porzucił poeta dawniejszy rozmach deklamacyjny, porzucił szeroki ton epiczny, którego świetnie użył w „El mole rachnim“, albo w wierszu „Szekspir“ — stał się teraz wyłącznie lirykiem, bardziej indywidualnym i lotnym.

Plastyka ustąpiła obrazowości, rozta piającej się w uczuciu, obrazy stały się przejrzyste. Poeta pomimo szczerości rzadko wypowiada swe uczucia bezpośrednio, wyraziście, ale przepuszcza je przez indywidualny pryzmat, w którym załamują się one, nie tęczowo jednak, ale powiewnie. Liryka jego tętni większą niż dawniej prawdą, nie roztapia się w kokieteryi frazesów, nie ma przesubtolnionego aromatu, jest mniej kunsztowną, bardziej przemawia do duszy — ale płynie zawsze falą dźwięków lekko tłumionych, strojnych i delikatnych. Forma, jak dawniej, znakomita, melodyjna, nie jest tak kryształowo rytmiczną jak n. p. u Asnyka, ale faluje miękko, wytwornie, pieści ucho, posiada wykończenie i lekkość nieporównaną. Zawsze spojona z myślą lub uczuciem, nie razi pustym szumem dźwięków.

Mówiąc po malarsku, cała liryka Gomulickiego jest harmonijnie stonowaną, subtelną i bardzo oryginalną. Wirtuoz przeszedłszy przez chłostę cierpienia, odrzucił precz świecidełka frazeologiczne, sztuczną kokieteryę rymów i stał się poetą w całem znaczeniu tego słowa, dorzucając kilka głębokich i pięknych dźwięków do wieczystej pieśni człowieczego bólu.

Z pomiędzy wielu klejnotów liryki jego najpiękniejszą jest następująca „Prośba“:

Gdybym koniecznie już miał
Przecierpieć mękę istnienia,
To duszy mojej, o Boże,
Daj ciche senliwe łoże
I wybierz dla niej z miliona ciał —
Ciało kamienia.

Gdybym koniecznie już miał
Rosnąć i więdnąć na ziemi,
To duszy mojej, o Panie,
Daj niskie, proste posłanie
I jej doczesny porównaj dział
Z trawy polnemi.

W trzeciej strofce, którą pomijam, poeta nie jest już tak jasnym i przekonywającym, ale te dwie nietylko nęcą czarem muzykalnym, ale ślicznie wyrażają bezbrzeżną tęsknotę i pragnienie spokoju, którego łakną napróżno synowie ziemi, wirem życia miotani i goryczą jego zatruci.

Józef Kotarbiński.



---

szeni? — odciął przeciągłym basem. — Dzisiaj panie, książę — dzisiaj panie, hrabia — dzisiaj panie, Bóg wie jaki arystokrata, każdy ma długi. Dziś panie każdy zadłużony po...

Przesunął palcem po czole.

— Ja ani książę, ani hrabia, ani żaden arystokrata, a przecież długów nie mam, he, he! — zakrzyczał wesoło Raniecki i uderzył się po kieszeni.

— Ba!

Już może po raz setny gruby Raniecki uszczypliwymi docinkami, wymierzonymi ku wnioskodawcy, przerywał poważną rozmowę i sprowadzał ją na bezdroża.

Szeląg, Borajski i Wywrót godzili wciąż powaśnionych, to biorąc Szołomiejskiego w obronę, to gromiąc Ranieckiego.

I tym razem stanął Szeląg po stronie kołczanowskiego filozofa, odpowiadając Ranieckiemu.

— No, nie trzeba myśleć tylko o sobie panie Ignacy. Kredyt, to ważna rzecz u nas, nie ma co mówić! Wam samym nieraz zdałby się znaczniejszy kredycik, gdy przyjdzie większe robić zamówienia. Nieprawdaż?

Raniecki nic na to nie odpowiedział.

— Co do mnie, ozwał się Borajski — to ja nie byłbym od tego, aby taką kasę założyć. Myśl, bądź co bądź, dobra.

— Rozumie się — zawołał Szołomiejski, a czując większość po swej stronie, podczesał palcami sterczące włosy i z zapałem ciągnął dalej. — Taż to panie, gdzieindziej, za granicą wszystkie stany mają takie kasy zaliczkowe: urzędnik swoją, kupiec swoją, rzemieślnik swoją, a włościanin, najbiedniejszy z nich wszystkich, także swoją — tylko u nas wszystko idzie, panie, jak z kamienia. Gdybyśmy tylko ułożyli statuta i uzyskali zatwierdzenie, reszta już fraszka. Jak raz gruchnie wieść po mieście, że kasa jest, ten i ów wnet swój kapitalik do niej złoży i spokój.

— Piękny mi spokój! — zauważył Raniecki nawiasem.

— A dla nas, którzyśmy tę kasę do życia powołali urósłby wielki zaszczyt z tego powodu. Słowo uczciwości daję.

— Nie, nie, to się nie uda, to się w żaden sposób nie uda — przeczył uporczywie Raniecki, trzęsąc niecierpliwie głową.

— Przepraszam! Dajże mi pan ważny powód, dla czego nie miałoby się udać.

Na takie niespodziewane zapytanie nie miał Raniecki w zanadrzu odpowiedzi, lecz nic namyślając się długo, odciął złośliwie:

— Bo pan, panie Szołomiejski, masz pech w rękach. Gdy co chcesz związać, to już się pewnie rozwiąże albo urwie. Tak samo było z tą spółką dostaw dla wojska. Gdybym był w czas nie postawił wniosku, żeby spółkę rozwiązać, to dziś musielibyśmy wszyscy spać w miejskim ogrodzie na ławkach pod kasztanami, jeść świeże powietrze i okrywać się listkami jak Adam i Ewa w raju. Oni zresztą byli do tego przyzwyczajeni, ale ja nie, panie, ja nie... pan zaś... no, jak się panu podoba, ale ja nie.

— I jak tu mówić rozsądnie z takim człowiekiem, co wszystko zwala na jakiś tam „pech“. Ja tego słowa wcale nie rozumiem. Może się nie udać to i owo, ale to jeszcze nie dowód, że inna się rzecz nie powiedzie. I wielkim wojownikom na świecie nieraz się nie wiodło, jak naprzykład Napoleonowi Bonapartemu, którego wywieźli na wyspę świętej Heleny, albo temu..... tam staremu Hanibalowi co przez góry szedł — a przecież dokonali obaj wielu pięknych dzieł na świecie.

Historyczna tyrada znudziła Ranieckiego.

— E, bo pan zaraz z historyą wyjeżdżasz — zawołał niecierpliwie — a nie, to z astronomią. U mnie panie dobrodziejaszku historya, to tutaj (uderzył się po kieszeni), a astronomia, to tych dziesięć palców.

— Chyba tak — mruknął lekceważąco Szołomiejski. — Kto nie czyta nic, ten nic nie wie. Koń także nic nie czyta.

— A kto za wiele czyta, ten traci oczy, chodzi w okularach, a dobytek dyabli biorą. Zapatrzyła się raz krowa na gwiazdy i myśli, że jest uczona — tymczasem przyszedł złodziej i za rogi: chap!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z estrady i sceny.

(Niobe. Krotochwila w 3 aktach p. Paultona. — Debiut panny Barskiej — Koncert Sokołów).

Królestwo Francuzów w dziedzinie farsy ma się ku końcowi. Przez długie lat dziesiątki panowali oni tak wyłącznie w zakresie najlżejszej twórczości scenicznej, że wszystko, cokolwiek reszta Europy ulepiła z materyału humorystycznego bezsensu i śmiechu dla śmiechu, nosiło stempel francuzki. Nazwiska były niemieckie lub angielskie, miejscowość Londyn lub Berlin, lecz typy, zawikłania, dowcipy nawet, zdradzały zawsze ojczyznę nadsekwańskich bulwarów. W ostatnich jednak latach Niemcy a mianowicie Anglia zuchwale stają do wyścigu o palmę pierwszeństwa. John Bull, ten poważny i flegmatyczny dziwak, śmiać się zaczyna, a śmieje się tak, że wschód i zachód wita go grzmotem oklasków. „Dom waryatów“, — „Rodzina Furjozów“, — „Niebieska grota“, — „Ciotka Karola“ — znacie te utwory. Przebiegły one wszystkie sceny europejskie i porywały tłumy wesołością swoją. Żaden z nich jednak nie dorównał najświeższej premierze poznańskiego teatru, która przed czterema laty wystawiona w Londynie, kilkaset razy z rzędu wstąpiła na deski, później obiegła z równym sukcesem Paryż, Berlin, Wiedeń, Lwów i Warszawę a wreszcie zawitała do Poznania. Imie premiery: „Niobe“. Posłuchajmy fabuły utworu.

Jakiś dyrektor banku zabezpieczeń, obdarzony kochającą małżonką i Ksantypą — siostrą małżonki, otrzymuje jako depozyt z rąk bogatego lorda, rozmiłowanego w sztuce i archeologii, drogocenny posąg Nioby. Dyrektor, człowiek nowoczesny par excellence zamierzał właśnie w owym czasie przeprowadzić światło elektryczne z ulicy do własnego domu, a robotnicy nie zdążywszy na razie drutów prądonośnych ukryć pod podłogą, okręcili je około nóg rzeźby wspaniałej. Wieczór zapada, rodzina dyrektorska spieszy do teatru, a wreszcie znika i lord archeolog, wyśpiewawszy miljony zachwytów nad arcydziełem sztuki i piękną legendę, jakoby ta klasyczna Niobe nie była dziełem dłuta rzeźbiarskiego, lecz na skinienie bogów w kamień zamienioną kobietą. Dyrektor sam pozostaje i sen mu klei powieki. Przejrzysta kurtyna z gazy zapada, po chwili znów się podnosi, na scenie rozgrywa się sen bohatera sztuki.

Śnią mu się cudowne rzeczy. Wspomnienia drutów elektrycznych kojarzą się z wspomnieniem opowiadań lorda. I oto schodzi z piedestału posąg, wskrzeszony elektrycznością do nowego życia, — zmartwychwstaje Niobe, cała grecka, klasyczna i starożytności pełna. Co począć z tym fantem? Biedny dyrektor głowę prawie traci, słysząc skargi tradycyjne i pojęcia stylowo-archaiczne żywego posągu. Gdy jednak miękkie ma serce, a zbudzona ofiara Feba mianuje władzcą i kochankiem wskrzesiciela swego, postanawia nie wypędzać jej w świat daleki, lecz przebrawszy w europejskie szaty płaczącą Niobe, przedstawić ją rodzinie swojej jako „nową guwernantkę“, zgodzoną przed niedawnym czasem i oczekiwaną niecierpliwie w tym domu. Rozpoczyna się tedy szereg najpocieszniejszych zawikłań, jakie kiedykolwiek ujrzały światło kinkietów. Nie opowiem ich czytelnikom moim, nie zdradzę sekretu, zalecam jednak wszystkim lubownikom pustej wesołości korzystać z okazyi i przekonać się osobiście o wstrząsającym humorze tej w świat nowoczesny przeniesionej Nioby:

Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
Uspakaja słabe nerwy,
Cały Olimp bóstw różowy,
Nie wyjmując i Minerwy
Śmiać się lubi. . . .

Cóż z tego, że efekt humorystyczny oparty jest w Niobie na takim podkładzie nieprawdopodobieństwa, że Paulton przyzwał Morfeusza na pomoc — co zresztą nie jest nowym wynalazkiem — i w krainę snu przeniósł dziwaczną fabułę. Byleby tylko śmiech sztuki zagłuszył zdrowy rozsądek, to fundament może sobie być najfantastyczniejszym bezsensem, — byleby tylko rozwój akcyi był logicznym, to premisa może być pustem dziwactwem. Oto recepta dobrej krotochwili rozgrzeszająca pomysł Nioby. Humoru tam tyle, że zagłuszona refleksya o prawa swoje się nie upomina. Fałsz czy prawda, bajka czy rzeczywistość, — nie pytamy o to, gdy klasyczny posąg wstępuje na scenę, prawi o hoplitach i sykofantach, deklamuje w jambach i trocheach, a wreszcie wspina się na dachy i ręce wyciąga do boga sztuki i słońca. Ten kontrast dwóch cywilizacyi, reprezentowany przez grecką Niobe i dyrektora banku zabezpieczeń wraz z rodziną jego, mieści w sobie tyle porywającej wesołości, że salwy śmiechów i oklasków rotowym ogniem sypią się ku scenie. W zakończeniu tylko należałoby dorzucić kilka szczypt soli atyckiej, — bo finał suchy jest nieco i blady.

Rolę tytułową odtworzyła na scenie poznańskiej p. Vernon. Artystka nie posiada odpowiednich warunków zewnętrznych, aby wcielić posągowe piękno i koturnowe ruchy greckiej Nioby, — po za tem jednak gra panny Vernon odznaczała się właściwym patosem klasycznym, tworzącym kontrast humorystyczny na tle nowoczesnego salonu. Stylowa ta deklamacya i mimika artystyczna zjednały artystce zasłużone oklaski. Równe uznanie należy się panu Łaskiemu za doskonałą interpretacyę bohatera sztuki. Gra jego była pełną pociesznego zakłopotania i dyskretnego humoru. Z innych artystów wyróżniała się korzystnie pani Skirmuntowa w roli starej, jadowitej panny.

* * *

W środę ubiegłą debiutowała na scenie poznańskiej p. Barska w jednoaktowej fraszce p. t. „Mąż pieszczony“. Jest to rodzaj szkolnego ćwiczenia — rodzaj egzaminowego popisu z gimnastyki głosu i mimiki. Patentu dojrzałości przyznać nie mogę młodej debiutantce. Gra jej była monotonna, koloryt szary, pozbawiony różnorodności tonów i półtonów. Wszystko tam zlewało się w jakąś masę bezkształtną i jednostajną. Nie widziałem ani typu sentymentalnej, ani typu namiętnej, ani typu zazdrosnej małżonki, słyszałem tylko lekcyę opanowaną pamięciowo, lecz wygłoszoną bezbarwnie. Gdybym według środowego debiutu wróżyć miał o scenicznej przyszłości panny Barskiej, to horoskop mój nie byłby wesoły, — przyznaję jednak że młoda adeptka sztuki posiada pewne warunki zewnętrzne, niezbędne dla teatralnej karyery: Głos słaby ale miły, ruchy nie pozbawione pewnej elegancyi, sympatyczne rysy i włosy rzadkiej piękności. Jest to „coś“ zawsze, — czy to „coś“ jednak wystarczy, aby laury zbierać na scenie?

Pannie Barskiej sekundował bez zarzutu utalentowany artysta pan Wostrowski.

* * *

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki teatralnej poświęcam krótką notatkę koncertowi Sokołów. Sokolskie zabawy cieszą się w Poznaniu niezwykłą popularnością, a lubo sąd szerokiej publiczności błędnym jest często i niesprawiedliwym, to tu bez wahania uznanie moje tam adresuję, gdzie vox populi zwraca sympatye swoje. Publiczne występy Sokołów poznańskich odznaczały się zawsze doborowym programem, a ostatni koncert przyczynił się niewątpliwie do utrwalenia pochlebnej opinii. Orkiestra amatorska pod batutą druha Zaremby, złożyła nowy dowód artystycznego postępu, a uznanie to spotęguje się znacznie, skoro zważymy, w jak trudnych warunkach pracuje dzielne kółko amatorów. Z utworów wykonanych na poniedziałkowym koncercie wyróżniał się korzystnie marsz „Czołem“, nowa kompozycya utalentowanego kierownika orkiestry. Z artystów teatru pznańskiego, biorących udział w koncercie, zasługuje na wyszczególnienie piękny barytonowy śpiew p. Majdrowicza, którego zalety ujawniły się dokładniej na sali koncertowej niż w mało akustycznych murach teatralnych. Dwukrotny występ p. Majdrowicza przy artystycznym akompanjamencie panny Vernon, uczennicy petersburskiego konserwatorjum, zjednał sobie frenetyczne oklaski. Równy zapał zbudziła silna deklamacya p. Paszkowskiej. „Mój Testament“ Słowackiego brzmiał w interpretacyi artystki serdecznym bólem, ironią i dumą, a gdy oklasków nie było końca, dorzuciła deklamatorka wiersz Nowickiego „Na kresach krzyżackich“. I tu była siła, tylko miejscami cieniowanie słabło. — Dyalog „Przyjaciele“, odegrany przez pp. Wostrowskiego i Grabowieckiego, nie zaleca się wybitniejszemi przymiotami literackiemi i scenicznemi, — wykonanie jednak odznaczało się energią i życiem. Obaj artyści wystąpili nadto w solowych deklamacyach, powitanych nader przychylnie przez liczną a w znacznej części doborową publiczność. P. Wostrowski porwał słuchaczów pięknym wierszem Tetmajera p. t. „Evviva l'arte“, a p. Grabowiecki rozwinął wiele entuzyazmu i subtelnego artyzmu w deklamacyi „Orła“ Czerwińskiego.

Żywe uznanie należy się również oddziałowi gimnastyków sokolskich pod komendą druha Gładysza. Wolne ćwiczenia i popisy na poręczach odznaczały się precyzyą, zręcznością i siłą, a piramida zbudowana na zakończenie występu śmiałością pomysłu i artystycznym układem. Niechaj to czytelników moich nie dziwi, że w tej rubryce poświęconej sztuce rozpisuję się o zaletach gimnastyki. Ćwiczeniom Sokołów naszych nietylko atleta lecz artysta przyklasnąć musi, — piękno jest również w sile i zręczności ciała, — w Olympii obok poetów występowali siłacze i zapaśnicy.

W. R.

Na Wyłomie.

(Noworoczne życzenia. — Dwuetnia służba. — My a oni. — Polityka a religia.)

Cóż wam przy Nowym Roku życzyć mam czytelnicy „Przeglądu“? W północ Sylwestrową lub rankiem nazajutrz śpiewano wam o błogosławieństwie bożem w dzieciach i dobytku, o majowych uśmiechach miłości, o zaszczytach może i laurach. Kości wasze trzeszczały, gdy wam w staropolskich uściskach krzyczano do ucha, by w nowym roku żołądek dobrze trawił, romatyzm nie strzykał po stawach, a trzos z pieniędzmi się wydął do rozmiarów olbrzymiego balonu. Mamże tę samą odśpiewać litanię lub stylem jednego z czasopism prowincyonalnych na czoło numeru wysłać gromki okrzyk: „Do siego roku czyli zdrowia szczęścia i pomyślności życzy czytelnkiom redakcya“. Duserami tego gatunku kar-

miono was już do syta, niechaj więc nasze „Z. P. N. R.“ z innego tonu przemówi dziś do czytelników „Przeglądu“.

Dwa lata służby mamy już za sobą, dwa lata razem ramię przy ramieniu walczymy o jutro, o infuzyę krwi świeżej do anemicznego organizmu społeczeństwa, o prawa obywatelstwa dla humanitarnych prądów i postępowych idei, o emancypacyę uczuć narodowych zgłuszonych fajerwerkami lojalizmu i grzechotem klerykalnych legionów, o zmartwychwstanie literatury i piękna na poznańskim gruncie, o tolerancyę przekonań, swobodę myśli i głos dla gwałconych bezprzykładnie praw etyki i równości obywatelskiej. Dwa lata walki! Ileż tam upojeń zwycięzkich, zachwytów, zawodów, bólów i doświadczeń! Zrazu garść ludzi rwie się do bitwy i broni „wyłomu“. Szaleńcy! Im to porywać się przeciw zwartym kolumnom uprzywilejowanych obrońców starego porządku, — im to kusić się o ścieranie rdzy gryzącej od lat 20 społeczeństwo poznańskie. — im to pozować na Herkulesów i czyścić stajnię Augiasza! Zrywa się krzyk potępienia, zagrały bębny na alarm. „Dziennik“ i „Kuryer“, konfesyonał i ambona, plotka i kalumnia, bojkot i nienawiść stają do szeregu i jak lawina toczą się z wyżyny. Zaduszą garstkę zuchwałych! Tak się przynajmniej zdawało. Lecz minął rok i drugi już mija a w obozie „Młodych“ rojno i gwarno, chorągiew dumnie wznosi się na szańcach i życie rośnie, — nie cisza śmiertelna.

Spoglądam w około. Tam wszyscy prawie w szeregu. Zaledwie kilku słabego ducha a próżności pełnych opuściło wartę i wrogi mundur przywdziało, — zaledwie kilku „zjadaczów chleba“, karyerowiczów i z męstwa wyzutych filistrów obcym dziś Bogom przysięga, — to wyjątki rzadkie, — ogół „buntowników“ mówi głośno: Jestem! A ileż tam nowych twarzy, ile nawróconych! To, co w pierwszem słowie programowem musiało z natury rzeczy rozpływać się w mgle ogólników, przybrało kształty wyraźne w dwuletnim istnieniu. Wśród wojennych strzałów zdołaliśmy się wypowiedzieć. Niejeden dwuznacznik stracił barwę zagadkową, niejeden złośliwy domyślnik przeciwników naszych rozbił się o potęgę faktów, niejeden moment politycznego życia stwierdził w całej pełni słuszność naszych obliczeń i protestów. A w miarę rozwoju programu naszego rosną młode siły, — ułamek staje się poważną cyfrą. To jest rzeczywistość, panowie „ładu i porządku“, — to jest rezultat dotychczasowych zapasów. A morał? Czyż jeszcze nie pojmujecie, że waszą taktykę przekleństw i bojkotów uwieńczyło kapitalne fiasko? Czyż nie rozumiecie, że w społeczeństwie poznańskiem dokonuje się przewrót na całej linii, którego nie powstrzyma żaden teroryzm? Wy macie za sobą zbutwiałą tradycyę, my służymy naturalnej ewolucyi społecznej, podyktowanej siłą wypadków ekonomicznych. Wy hołdujecie abdykacyi narodowej i budujecie jakieś trzy lojalizmy i trzy patryotyzmy, pragniecie nawet zdusić tak polskość w uściskach katolicyzmu, by łachman tylko z niej został, — my nie abdykujemy z praw narodowych, na bramach przeszłości nie godło śmierci, lecz znak zmartwychwstania kładziemy i uznając krzyż obok orła, krzyża bez orła nie uznamy nigdy. Czyż wątpicie, przy kim będzie zwycięstwo? Czy kiedykolwiek prąd narodowy żywiej grał w społeczeństwach Europy niż dzisiaj? Gdzie tylko spojrzycie, wszędzie duch narodu się budzi i woła o prawa swoje, — nawet wśród zagasłych ludów jakiś ruch się zaczyna, nawet wśród kilkutysięcznych niedobitków, na ziemiach pochłoniętych obcą cywilizacyą odzywa się separatyzm narodowy i odrodzenie zwiastuje. Duch wieku stoi za nami, — przemówił Szląsk, przemówiły Mazury, — a „Kuryer poznański“ chce polskość katolicyzmem zastąpić!

Szatan pragnął niegdyś zniszczyć dary Boże i ludziom ukraść ziarno pszeniczne. Więc porwał je i w ziemi ukrył starannie. Nastała wiosna i ziarno kłosem strzeliło.

Głupiec chciał mrówkę zadusić, — więc wziął garść ziemi i przykrył małe żyjątko. Po chwili mrówka wesoło na powierzchni tańczyła.

Taki sam efekt uwieńczy dzieło „najserdeczniejszych naszych“, którym przy nowym roku życzę przedewszystkiem łaski Ducha Świętego. Wtedy zrozumią może, że szerokie masy narodu drwić sobie zaczynają z polityzcnych bałwanów Kuryera i Kuryerowiczów, — wtedy uznają, że naród, ogłuszony zrazu majestatem różnych autorytetów i otumaniony błędnym ognikiem sofizmatów dyplomatycznych, wraca do przytomności i w głos się śmieje lub pięści zaciska zuchwale. A lubo społeczeństwo nasze jeszcze do tego stopnia jest sklerykalizowane, że na publicznych zebraniach roztrząsa kwestye, jak często ten lub ów z redaktorów wyznaje grzechy przed konfessyonałem, i według liczby odbytych spowiedzi sądzi o człowieku, to przecież rosnąca oświata, nie dziś to jutro, kres położy bezprzykładnemu wyzyskiwaniu religii w celach politycznych. Jest to paląca kwestya najbliższej przyszłości. Tu nastąpić musi poważne rozrachowanie i uczciwa prasa ludowa z całym naciskiem w tym właśnie kierunku rzucić powinna garść jasnych promieni, aby zapobiedz minującej robocie, której głosy gdzieś z pod ziemi znowu nas dolatują.

Jakie stanowisko zwolennicy pisma naszego zajmą w tej walce, która wkrótce może z podwojną siłą wrzeć będzie w całym zaborze pruskim, o tem dwóch opinii chyba być nie może. Bunt przeciw gwałceniu przekonań politycznych w imię religii jest zasadniczym postulatem programu naszego i w nowym okresie życia przeciwnicy nasi znajdą nas zawsze na posterunku. Jeżeli zaś dziś kwestyę tę wyprowadzam znowu na widok publiczny i prezentuję ją u bram noworocznych towarzyszom broni, to słowa moje płyną z przekonania, że my nieraz za późno spieszymy na pole bitwy i na gruncie nieprzygotowanym bój rozpoczynamy. Kto w krytycznej chwili dopiero za broń chwyta, ten znajdzie może pozycye zajęte i największe męztwo pójdzie tam na marne. Niechaj inteligencya, grupująca się około Przeglądu poznańskiego, o tem nie zapomina, niechaj grunt do walki przygotuje, niechaj wejdzie w lud i tam tłomaczy różnicę dwóch światów: polityki i religii, — niechaj w nizinach społeczeństwa sieje oświatę, bo tylko lud oświecony będzie sprzemierzeńcem naszym.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

„Przegląd literacki“. Poważnie, na nasze stosunki prawie imponująco, przedstawia się pierwszy numer krakowskiego „Przeglądu literackiego“, wydanego przez tamtejszy „Związek literacki“. W krótkim, spokojnym, przedmiotowym artykule wstępnym, podaje redakcya pogląd na krytykę wogóle, a w szczególe na krytykę naszą i tłómaczy zarazem cel i zadanie „Przeglądu“. Po tym artykule następuje szereg recenzyi i sprawozdań. Ocenione są: „Nowe pieśni“ Gomulickiego, „Miłość“ Jana Kasprowicza, „Zyzma“ i „Na szerokim świecie“ Sewera, „Marzenia“ Rawity, „Iluzja“ Kowerskiej, „Tarantula“ Glińskiego, „Humoreski“ Bąkowskiego, „Zwyciężony“ dramat Rabskiego, dwa obrazki sceniczne Przybylskiego, dzieło „O współczesnych poetach polskich“ Chmielowskiego, „Mikołaj Rej“ Windakiewicza, „O prasie“ Wojciechowskiego, „Warszawa ilustrowanaa“ Czajewskiego, „Katakumba św. Pryscyli“ ks. Bilczewskiego, „Postrzyżyny u Słowian i Germanów“ Potkańskiego, „Muzyka grecka“ Fryzą, oraz kilka rozpraw z dziedziny prawa Makarewicza i Kasparka. Wszystkie recenzje noszą cechę fachowości i przedmiotowości, są więc prawie całkiem odmienne od większej części naszych tak nazwanych „krytyk“, które zazwyczaj wyglądają na panegiryki lub paszkwile. Na przytoczone recenzje złożyły się pióra: prof. dra. Tretiaka, Kazimierza Bartoszewicza, Romana Zawilińskiego, dra. Feliksa Koneccnego, prof. dra. J. Fijałka itd. Z kolei podaje nam „Przegląd“ obszerną bibliografię czasopism polskich z ubiegłego miesiąca; znajdujemy w niej około 300 tytułów ważniejszych prac i artykułów, ułożonych alfabetycznie. Redakcya jednak nie poprzestała na samych tytułach, ale bardzo często w kilku wierszach zaznaczyła ich treść, lub podniosła ciekawsze z nich szczegóły. Osobny dział stanowi spis ważniejszych recenzyi i sprawozdań w pismach polskich pomieszczonych. Zaraz po nim mamy bibliografię przekładów z polskiego i artykułów o rzeczach polskich w obcych literaturach. Dalszą rubrykę „Przeglądu“ stanowią obszerne „Wiadomości literackie“ z literatury polskiej, z literatur słowiańskich i obcych. Kończy pierwszy numer streszczenie pogadanek w „Związku literackim“ dra. Konecznego (O wystawie etnograficznej w Pradze), K. Bartoszewicza (O poezyach Kasprowicza), Antoniego Beaupré'go (O nowelli polskiej), prof. Dobrowolskiego (O wykształceniu kobiet w wiekach średnich) i L. Glatmana (O awanturniczej lekarce polskiej z w. XVIII). Jak widzimy pierwszy numer „Przeglądu“ jest w treść bardzo bogaty i każe przypuszczać, że pismo to stanie się nieodzownie potrzebnem dla każdego literata i miłośnika literatury, będzie bowiem dokładnym obrazem całego naszego bieżącego ruchu literackiego, nie zapominając o ruchu literackim za granicą i w Słowiańszczyznie. Redakcya „Przeglądu“ spoczywa w rękach komitetu złożonego z wybitnych uczonych i literatów krakowskich. Redaktorem głównym jest p. Kazimierz Bartoszewicz, wydawcą i sekretarzem redakcyi p. L. Glatman. Kończąc naszą krótką wzmiankę o „Przeglądzie“, dodajemy ze szczerego przekonania, iż dawno w naszej perjodycznej literaturze nie ukazał się organ, któryby tak świetnie zaspakajał rzeczywistą potrzebę naszego piśmiennictwa. A nie założył go żaden mecenas literatury lub bogaty wydawca, — „Przegląd“ bowiem powstał bezinteresowną pracą i funduszem ludzi pióra, którzy u nas, jak wiadomo, nie opływają w dostatkach. Ztąd ze słuszną dumą mogli się odezwać założyciele „Przeglądu“: „Dajemy mu nasz grosz i naszą bezinteresowną pracę, a w zamian spodziewamy się, iż miłośnicy literatury ocenią naszą dobrą wolę i ocenie tej dadzą wyraz przez popieranie pisma, którego jedynym celem: służba literaturze ojczystej“.

* * *

*** Wisła,** t. IX, zeszyt 3: lipiec, sierpień wrzesień 1895.

Każdy pojawiający się zeszyt „Wisły“ wzbogaca wiadomości nasze w zakresie folklorystyki krajowej. Badania ludoznawcze, przedtem po dyletancku u nas prowadzone, zyskały na systematyczności i metodyczności, dzięki właśnie wpływowi i inicjatywie tego tak umiejętnie redagowanego wydawnictwa. Skupiło ono nadto cały szereg pracowników, pogłębiło ich badania, pobudziło znowu in-

nych do pracy we wspomnianym kierunku. Jestto zasługa niemała. Po wyjściu 4-go zeszytu t. IX-go podamy obszerniejsze sprawozdanie z całego tomu: tymczasem notujemy tu tylko ogólnikowo zawartość obecnego zeszytu.

Nasamprzód mamy tu w dalszym ciągu kilka odmianek pieśni o treści zbliżonej do opowieści o królu Learze („Do króla Leara“). P. Konstanty Rayski daje resztę „Śpiewek i zagadek ze wsi Białej błotnej (powiat włoszczowski); p. Z. Kowerska wielce ciekawą „Pieśń o Starej Kowalce“ (rodzaj ballady czy dumki) oraz dokończenie obszernego zbioru „Podań i opowiadań z W. Ks. Poznańskiego“ Ottona Knoopa, w przekładzie z niemieckiego. Taż sama autorka ogłasza tu bajki „O wypluwance i o pożyczance“ i „O trupigłówce“ z Czernięcina w pow. krasnostawskim, zapisane w gwarze miejscowej. P. Aleks. Łętowski opowiada o niektórych obyczajach Białorusinów w art. „Z życia ludu białoruskiego“. P. Karłowicz podaje, po dłuższej przerwie parę przyczynków do swej ważnej rozprawy p. t. „Systematyka pieśni ludu polskiego“. Mamy dalej dr-a K. Matyasa „Przezwiska ludowe w powiatach Tarnobrzeskim, Niskim i Brzeskim w Galicyi“ oraz ciekawy artykulik zmarłego Wł. K. Zielińskiego o „pochodzeniu i niektórych zwyczajach Cyganów polskich“. Zeszyt ten zamyka „Kronika geograficzna za r. 1894“ p. Wł. Nałkowskiego, wreszcie zwykłe działy: „Poszukiwania“, „Bibliografia i Krytyka“ i „Przegląd czasopism“. Notujemy tu jeszcze p. Strzelbickiego „Notaki antropologiczne“ i odezwę tegoż, tyczącą się zbierania danych co do „Koloru oczu i włosów u ludu naszego“. Zeszyt zdobi rysunek, przedstawiający typy włościan z pow. nowomińskiego.

Jak widzimy, treść zeszytu bogata i urozmaicona, powinna więc zaciekawić miłośników naszego folkloru.

* * *

*** Dr. Oskar Panizza.** Das Liebeskonzil. Monachium 1895.

Na karb jednostki wprawdzie, ale zawsze jako *signum temporis*, trzeba kłaść dzieło d-ra Oskara Panizzy, niedawnego lekarza wojskowego w Monachium, p. t. *„Das Liebeskonzil“*, dramat w 4 aktach. Autor korzysta ze sposobności, że w bieżącym roku mija właśnie 300 lat od pojawienia się w Europie strasznej choroby "lues“, i przedstawia w sposób dramatyczny genezę tej choroby, podług pojęć ludowych, tj. jako karę, zesłaną z niebios za niesłychane zepsucie wieku, które objęło swą gangreną wszystkie warstwy społeczeństwa włoskiego — pod przewodnictwem niejako ówczesnej papiezkiej rodziny Borgia. W formie dramatycznej przenosi autor pojedyńcze akty swego dzieła do nieba i do piekła, do sal papiezkich i na ulice Rzymu. Jego sposób traktowania przedmiotu ma być satyrycznym, a jest w rzeczywistości encyklopedyą najszaleńszych bluźnierstw i najwyuzdańszych scen, które kiedykolwiek w druku się pojawiły. Recenzenci pytają w pismach: w którym zakładzie obłąkanych przebywa autor, któremu zresztą kunsztu pisarskiego odmówić nie podobna? Sąd monachijski wyznaczył mu atoli inną siedzibę, więzienie, i to na przeciąg jednego roku.

* * *

Agitacyjna broszura. Związek Hakatystów rozesłał nową broszurę w celu podniecenia szowinizmu niemieckiego. Tytuł książeczki: „Fälle polnischen Boykotts“. Broszura zawiera liczne wyjątki z gazet polskich i niemieckich, składające rzekome do wody polskiej nienawiści i nietolerancyi wobec niemieckich kupców i przemysłowców. Znana taktyka krzyżacka! Napastników przedstawia się jako uciśnionych, a tych, którzy bronią się przed wytępieniem, za tępicieli.

* * *

*** Recenzye amerykańskie.** Sława recenzyi amerykańskich dawno jest ustaloną, nie zaszkodzi jednak od czasu do czasu przypomnieć ją światu.

W Chicago amatorzy polscy odegrali komedyę Blizińskiego „Pan Damazy“. Wychodzące w tem mieście „Kropidło“ przyznaje, iż, jak na amatorów, grano „znakomicie“, ale były usterki- I rozpoczyna „Kropidło“ wyliczać cały szereg tych usterek, z których kilka przytaczamy:

Oto p. Dillon, wypowiadając słowa: „Mańka, ja cię kocham“, tak ułożył swą twarzyczkę, że dla widza dalszego, który słów nie dosłyszał, widocznem było, że pan Dillon woła: „pani, jak mnie rżnie w brzuchu“. P. Dillon jeszcze inne, według „Kropidła“, popełniał usterki, bo np. chciał się „przylepiać“ do Mańki i za często tyłem odwracał się do publiczności, „widocznie uważał, że z tej strony lepiej się przedstawia“. P. Grabowiecka znowu „zasadzała naiwność na woltyżerskich kroczkach“. P. Barszczewska okazała na scenie że ma „lekkie uczucie“, bo nie bardzo ją wzruszało, kiedy ją amant opuszczał. Pani Uczciwek grała dość uczciwie. P. Wojnicki, mówiąc o swej miłości, mówił to tak obojętnie, jakby opowiadał: „jeść mi się chce, chciałbym zjeść choć chleba z masłem“.

W taki sposób jest dalej prowadzona recenzya z przedstawienia, na którem „grano znakomicie“. Po przedstawieniu były tańce — i o nich też „Kropidło“ wyraża swoje zdanie. Najwięcej „Kropidło“ zgorszyło się mazurem. „Kilka par widocznie usiłowało frunąć w powietrze, ale coś je wiązało z ziemią, to też biedacy wymachiwali rękami i nogami ale nic nie pomogło; żeby to było w wodzie, to możeby trochę popłynęli, ale na piasku ani rusz“. W dalszym ciągu radzi „Kropidło“ jakiemuś panu redaktorowi od „Śmietnika“, aby nie chodził na przyszłość po sali ze swoją połowicą... gdyż jest od niej o połowę mniejszym.

Dość będzie tych próbek sprawozdania polsko-amerykańskiego.

* * *

*** Henryk Ibsen** *Studyum przez d-ra Ludomiła Germana. Lwów 1895.*

Znany germanista, tłómacz „Nibelungów“, wzbogacił naszą literaturę pracą, która tak ze względu na temat, jak i jego pogłębienie, zasługuje na uwagę. Ibsen nie jest naszej literaturze obcym; jak to często u nas bywa — mamy więcej studyów o nim niż tłomaczeń jego dzieł. Prócz mnóstwa artykułów, znamy osobne o nim prace hr. Engestroma, Wollernera, Bogusławskiego, Biegeleisena; dr. German doprowadza charakterystykę twórczości swego bohatera do ostatnich czasów, obejmując wszystkie jego dzieła, z wyjątkiem „Małego Eyolfa“. Daleki od jednostronności, widzi dr. German w Ibsenie przedewszystkiem wielkiego artystę i z wielkiem poczuciem estetycznem podkreśla w każdem jego dziele głębokie i niezwykłe piękności, chociaż, naszem zdaniem, zamało uwydatnia rewolucyjne oryginalne znaczenie Ibsena dla techniki dramatycznej. Bardzo pięknym jest ustęp, w którym skreślony jest wpływ przyrody norweskiej i stosunków tamtejszych miasteczek, o całe niebo różniących się od naszych, na psychologię Ibsena, poczem idzie subtelna analiza dramatów jego romantycznych i filozoficznych. Z młodości jego i stosunków, w których się rozwijał, wywodzi genezę tego pesymizmu, którym prawie wszystkie dzieła są przesiąknięte; Ibsen na chwilę w „Cesarzu i Galilejczyku“, zdawał się ustąpić wyższym, pozytywnie idealnym dążeniom, lecz wybuchnął na nowo, z większą jeszcze siłą, gdy z wyżyny ogólnoświatowych problemów zeszedł na ziemię i zaczął studyować ponure tajniki. Za mało jednak zwraca dr. German uwagi, że nie jest to pesymizm beznadziejny, Schopenhauerowski, lecz według wyrażenia Brandesa, „pesymizm oburzenia“, wynikający z wpatrzenia się w zbyt wysokie, absolutne, ułomności ludzkiej niedostępne ideały etyczne. Rozdźwięk ten, między pragnieniem a rzeczywistością, staje się z biegiem lat u Ibsena coraz silniejszy; wyobraźnia, potężna u syna północy, żąda swych praw i nie może się zgodzić z trzeźwą obserwacyą i niby umiejętną spekulacyą; ztąd — zdaniem dra Germana — charakter symboliczny, który noszą dzieła Ibsena z ostatniej doby. Na to tłomaczenie nie wszędzie można się zgodzić, ale zawsze daje ono czytelnikowi dużo do myślenia. Całe studyum pisane bardzo zajmująco, stylem jędrnym i z pewnym polotem.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. W Carogrodzie dokonano nowych aresztowań. Rozchodzi się pogłoska, że Armeńczycy zamierzają powtórzyć demonstracye. — Biuro Reutera otrzymało telegram o częściowem zajęciu Zeitunu przez Turków. Zwycięstwo to nie roztrzyga jednak o dalszych losach powstania. Wojsko tureckie dziesiątkowane mrozem, chorobami i napadami powstańców, wstrzymały dalsze operacye wojenne. — W Filadelfii przyszło do groźnych zaburzeń. Tłumy ludzi przeciągają ulice miasta, wyrywają szyny tramwajowe, niszczą druty telegraficzne itp. — W Petersburgu odkryto między studentami wielki związek socyalistyczny. Dwustu akademików wyjechało za granicę, chroniąc się przed aresztowaniem. — Na wyspie Kubie hiszpański marszałek Campos pobił na głowę powstańców. Walka była zacięta. Straty Kubańczyków są nader znaczne. — W niemieckiej partyi konserwatywnej panuje wielki popłoch z powodu aresztowania bar. Hammersteina, naczelnego redaktora „Kreuzztg.“ Sensacyjny proces skompromituje niezawodnie wielu wybitnych członków stronnictwa, którzy znać musieli długoletnie nadużycia głośnego obrońcy „prawa religii i porządku“ a równocześnie zwykłego oszusta i złodzieja.

Teatr i muzyka. W najbliższy czwartek ukaże się na scenie poznańskiej „Odetta“ na benefis p. Skirmunta. Sztuka ta, od lat kilkunastu na scenie naszej nie grana, odznacza się wszystkiemi zaletami, któremi Sardou zjednał sobie prawo trwałego obywatelstwa na scenach europejskich; to też nie wątpimy, że publiczność szczelnie wypełni loże i krzesła, tembardziej, że beneficyant jest nietylko artystą pierwszorzędnym, lecz najstarszym filarem sceny poznańskiej. Pan Skirmunt obchodzić będzie niebawem srebrny jubileusz pracy scenicznej w teatrze naszym. — Antoni Kątski, pianista, odbywa obecnie tournée koncertową po Japonii. Na koncertach grywa nową kompozycyę swoją: „Marsz tryumfalny“. Marsz doznaje niezwykłego powodzenia w kraju Mikada. — Dowiadujemy się, że p. Barska zaliczoną została do składu trupy poznańskiej. — W operze paryzkiej ukaże się niebawem niegrana jeszcze opera Glucka: Helena i Parys. — P. Katarzyna Jaczynowska, pianistka, wystąpiła z koncertem na sali Bechsteina w Berlinie. Krytyczna publiczność berlińska przyjmowała z zapałem artystkę, obdarzoną niepospolitym talentem i kształconą u Rubinsteina. — Na warszawskiej scenie debiutowała bez powodzenia pani Selens.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dołęga. Wystarcza adres: Dyrekcya teatrów rządowych w Warszawie. Plac teatralny.

Mi. Artykuł nadesłany kwalifikuje się do pism codziennych.

M. T. Władysław Okoński jest pseudonimem Al. Świętochowskiego. Z licznych dramatów autora tego wymieniamy: „Niewinni“, „Ojciec Makary“ „Piękna“ i „Aspazya“. Z dzieł filozoficznych polecamy: „O powstawaniu praw moralnych“ i „Dumania pesymisty“. Zwracamy wreszcie uwagę na niepospolite utwory nowellistyczne, np. „Karol Krug“, „Chawa Rubin“ i „Klemens Boruta“. Adres „Prawdy“: Żórawia 34.

Jeden z abonentów. Temat dobry. Musimy jednak wprzódy przeczytać artykuł, zanim o przyjęciu jego stanowczą wydamy opinię. Prosimy o nadesłanie.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.